Numer 8. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 22 lutego 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Jak się ludzie żenią.

Budowniczy — zakłada — gniazdko.
Myśliwy — wpada w pułapkę.
Polityk — włazi na mównicę.
Kryminalista — nakłada kajdany.
Poseł — zajmuje mały numerek w dużym hotelu Sejmowym.
Furman — zaprzęga się do wozu.
Notarjusz — wali pieczęć na czystym arkuszu.
Sędzia — pisze sobie wyrok.
Adwokat — rozpoczyna proces długotrwały.
Bednarz — gubi piątą klepkę.
Aptekarz — kręci sobie pigułę.
Policjant idzie do ula.
Mowca — zapomina języka w gębie.
Redaktor — schodzi na — współpracownika.
Maszynista fabrykuje parę bez kotła.
Szewc — szyje sobie buty.
Urzędnik dostaje jeszcze jednego zwierzchnika.
Śpiewak — robi kiksa.
Grabarz — idzie za życia do grobu.
Generał — degraduje siebie.
Admirał — wpada po szyję w wodę.
Drukarz — sunie pod prasę.
Księgarz — sięga po romans.
Rolnik zaprzęga się w jarzmo.



Podsłuchane rozmówki.

Młodzieniec do umalowanej panny:

— Powiadają, że silne rumieńce na policzkach oznaczają zdrowie.

— Ależ tak, panie Henryku, to oczywista prawda.

— Hm! W takim razie pani jest zdrowsza z lewej strony niż z prawej.

Choroba.

Pewien hipochondryk, zatrzymuje na ulicy znajomego lekarza.

— Dobrze, że spotykam pana doktora; byłem właśnie na pewnym odczycie medycznym i obawiam się, że jestem chory na nerki.

— Ależ drogi przyjacielu, przecież to jest choroba, która w początkach nie wywołuje żadnego bólu!

— Toteż, panie doktorze, mnie nic nie boli i dlatego właśnie sądzę, że jestem chory na nerki.



Pan profesor Zapominalski stara się naprożno otworzyć bramę domu.

Widząc jego wysiłki, spieszy mu z pomocą jeden z przechodniów i stwierdza, że pan profesor chce bramę otworzyć — cygarem.

— Tem pan profesor nie da rady — rzecze — to przecież cygaro!

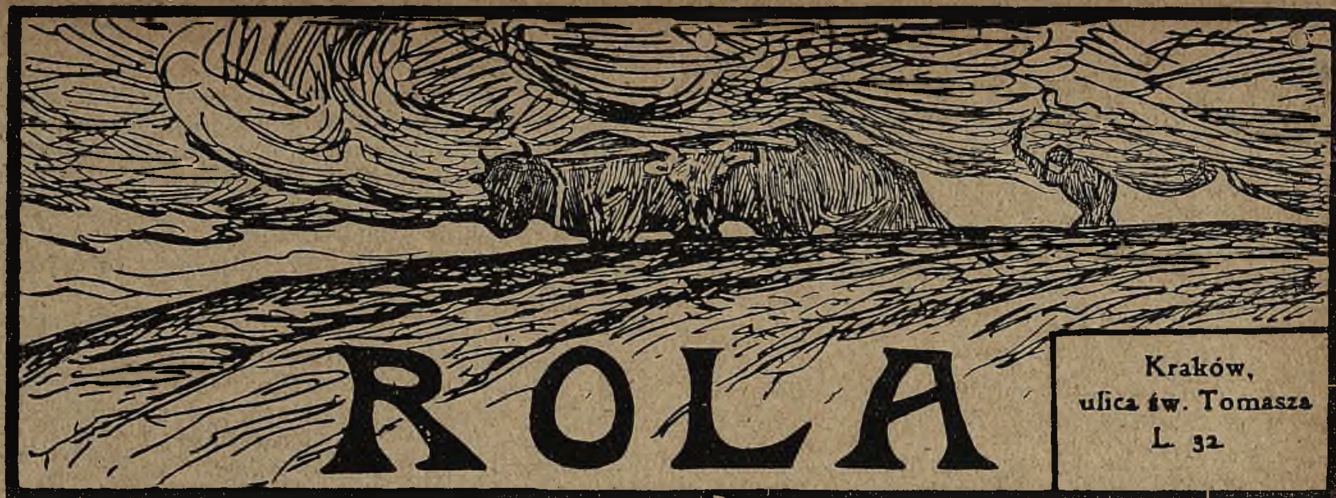
— Nie może być — odpowiada profesor. — W takim razie ja przed kwadransem wypaliłem — klucz od bramy!



Biedne dzieci.

— Drobne ogłoszenie: „Poszukuje się solidnej służącej, umiejącej dzieci pielęgnować i prasować".

Numer 8. Rok XIV. Kraków, dnia 22 lutego 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Gorzkie żale.

A więc razem z środą popielcową wstąpiliśmy w okres Wielkiego Postu. Minęły zabawy i bale, minęły radości i tańce, skończyły się flirty i zalecanki, skończyły się wszystkie wesołości, jak zresztą wszystko kończy się na tym świecie, co jest znikome i nic wspólnego z przyszłem życiem człowieka nie posiada. Weszliśmy w okres Wielkiego Postu, w którym trzeba zapomnieć o przyjemnościach ciała, a trzeba pomyśleć nieco o duszy, jako ważniejszej połowie naszego jestestwa. A Kościół święty daje nam dość po temu sposobności.

W kościołach naszych odprawiają się w czasie Wielkiego Postu różne nabożeństwa, które odrywają duszę człowieka od ziemi, a podnoszą ją ku Bogu.

Do takich należą „Pasje", zwane również od pierwszych swych słów „Gorzkie żale". Oprócz nabożeństw wielkopostnych urządzane bywają w kościołach rekolekcje, na których kaplani przygotowują wiernych do wielkanocnej spowiedzi.

Raz na tydzień w każdym kościele, a gdzie jest więcej świątyń, to codzień w innej odprawia się nabożeństwo. Są to rozważania szczegółów Męki Pańskiej, ułożone w formie pieśni, zaś w układzie, przypominającym pierwszą część pacierzy kapłańskich w brewjarzu rzymskim, jutrznię. Za wstęp służy pieśń, rozpoczynająca się od słów „Gorzkie żale", poczem w każdej z trzech części następują trzy momenty: rozważanie Męki, rozmowa duszy z umęczonym Chrystusem oraz żale Matki Boskiej, bolejącej nad cierpieniem Syna; każda z tych pieśni ma inny rytm wiersza i inną melodję. Między trzema częściami nabożeństwa następuje przerwa i kapłan celebrujący odczytuje treść nastąpić mającego rozważania i cel, czyli ofiarowanie.

Po trzeciej części następuje kazanie, w którem kaznodzieja roztacza przed słuchaczami obrazy Męki Pańskiej, bądź też na tem tle rozważa tematy moralne.

Całe nabożeństwo odprawia się z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, to też po kazaniu następuje procesja, podczas której lud śpiewa pieśń: „Jezu Chryste Panie miły", poczem po „Tantum ergo" następuje schowanie Najświętszego Sakramentu i nabożeństwo kończy się pieśnią „Wisi na krzyżu".

Wierni bardzo kochają to nabożeństwo, przedewszystkiem dlatego, że sami je śpiewają od początku do końca. Rola księdza jest tu ograniczona do trzech krótkich czytań i paru intonacyj, a potem dla niesłychanej rzewności, pełnej poezji, prawdziwie religijnej. Wiersz jest prosty, jasny, ułożony w duchu prymitywnej poezji ludowej, w najlepszym stylu, melodje, pełne swoistej, pięknej liryki. Przecież nie należąca właściwie do tego nabożeństwa pieśń „Wisi na krzyżu" jest pełna wstrząsającej grozy tragicznej. Oczywiście organy utrzymują czystość tonu i rytm.

W Polsce „Gorzkie żale" śpiewane są od roku 1707, gdy ks. Wawrzyniec Stanisław Benik, promotor bractwa św. Rocha przy kościele parafjalnym św. Krzyża, wydał książeczkę p. t. „Snopek mirry", w której po polsku podał te właśnie rozważania pasyjne. Potwierdził je proboszcz, ks. Bartłomiej Tarło, a ks. Szczepan Wierzbowski, oficjał warszawski, zatwierdził druk i pierwszy nabożeństwo to przy licznym udziale wiernych w kościele św. Krzyża odprawił.

Na język litewski „Gorzkie żale" przetłumaczył i wydał w 1873 r. ks. Hilary Stalmuchowski. Nabożeństwo to znane jest więc w tej formie tylko w Polsce i na Litwie.



Cecora.

Powieść historyczna.

Jasinowski, słuchający opowiadań hetmana o przedsięwziętej wyprawie na Turka, dostrzegł ono zapatrzenie się Halszki i ruchem głowy znaki jej dawać zaczął, ale widząc, że Halszka nic nie widzi, machnął w stronę jej ręką, jakby precz pędził, a Kurzański na to:

— Czy waćpan muchy łowisz?...

Pan Symforjan zmięszał się, lecz i Halszka opamiętała się. Cofnęła się szybko i usiadła na ławie za plecami ciotki.

A hetman mówił:

— Tak tedy, nie zwlekajcie waszmość państwo i do Żółkwi zjeżdżajcie. A chrześcijański to będzie uczynek względem Reginki mojej, która częściej samotniejsza od niejednej zakonnicy bywa. Lata całe na koniu przepędziłem, a w polu; nie mówiąc o wojnach szwedzkich i moskiewskich, samych wypraw przeciw Tatarom liczę obozów trzydzieści. A czasby już skołatanej głowie spoczynek dać i do innej się przygotować podróży.

— Nie waszej miłości w tem głowa — wtrącił Kurzański. — Jak Pan Bóg powie: pódź! to pódziesz, a teraz gąsiorek wypróżnić trzeba, bo nie lubię pić, a nie wiedzieć, czy dno wypolerowane jest dobrze!

— Waćpan zupełnie tak mówisz, jak Supronicz, brat mój nieboszczyk — rzekła panna Małgorzata — on zawsze denko wypolerowane chciał widzieć.

— Szkoda, że umarł, a dałbym mu gębę — Kurzański na to.

Stuknęli w puharki, a Jasinowski zdrowie hetmana wzniósł.

— Gdzie Halszka? — spytał hetman.

— Jestem, wujku — odezwał się głos dziewczęcy z za pleców panny Suproniczówny.

— A cóż tak, jak trusia zaszyłaś się?... — na to Żółkiewski. — Zła gospodyni z waćpanny, zachęty nie ma; rotmistrz ledwie kielicha dotknął, a waćpanna z za pleców ciotki figle pewnie do Kurzańsia wyprawiasz.

— Mrugamy k'sobie: ja prawem, ona lewem oczkiem — odparł Kurzański.

— Panie Plichta! — zwrócił się hetman do rotmistrza. — Niezgorsze wino i u Koreckiego nie lepsze!

— Zachęty niema — odpowiedział Plichta.

— Pij waćpan! — odezwała się Halszka, jasną ukazując główkę.

Plichta wypił tchem jednym.

— Pójdź tu, Halszko! — rzekł hetman.

Halszka wyszła z ukrycia i zbliżyła się do Żółkiewskiego. Czerwone płomienie gorejącego ogniska oblały jej postać i zdawały się ją całą przesiąkać. Stała uśmiechnięta, z koralem ust na pół rozchylonych, w których dwa rzędy ząbków, jak dwa sznureczki pereł świeciły.

Kurzański mrużył lewe oko i rżnął Plichtę kułakiem w bok:

— Widziałeś waćpan coś podobnego? — szepnął.

— Ino modlić się do niej, ino modlić!... — rzekł Plichta.

— Nie po północku tylko — mruknął Kurzański — bo sam Pan Jezus by powiedział: głupiś Plichta!...

— Przyjedziesz do Żółkwi, Halszko? — pytał hetman.

— Przyjadę.

— Po klasztornemu tam trochę będzie, ale i tutaj monasterem patrzy. Wiem, że Jasinowski nie rad Jagodyńce opuszczać, lecz siedzieć tu w czas wojenny niebardzo bezpiecznie. Nim Turka umityguję, Tatar tu zajrzeć może i w jasyr moją pieszczoszkę wziąć.

— Odbijemy, wasza miłość!... — rzekł Plichta.

— Masz waćpanna i rycerza, a podziękujże mu za gotowość i ochotę.

— Dziękuję waszmości — odezwała się Halszka.

— Kto idzie na wojnę, to idzie jakby na śmierć — rzekł, wstając Plichta. — Nie z bylejakim wrogiem mocować się mamy... a dobrze jest, gdy jaka dusza niewinna za rycerzem do Pana Boga się wstawi. Daj mi waćpanna pamiąteczkę jakąś...

— Twój „Sennik egipski!..." — mruknął przez zęby Jasinowski, nachylając się do panny Małgorzaty.

Halszka stała pomiędzy hetmanem a Plichtą, opuściła głowę na piersi, paluszek położyła na usta, jakby dumając nad czemś.

Milczeli wszyscy.

Jasinowski pociągnął Halszkę za suknię.

— Dam waćpanu medalik Matki Boskiej, pamiątkę po mamusi mojej... — odezwała się nagle, a łzy wypełniły jej oczy.

Jasinowski pociągnął ją raz drugi, a ona zdjęła z szyi medalik na złotym zawieszony łańcuszku i rzekła do Plichty:

— Nachyl waćpan głowę.

Plichta na oba kolana runął.

— Niech Jezus Chrystus ma waćpana w opiece swojej i Matka Jego Przenajświętsza — szepnęła.

Pochyliła się, włożyła łańcuszek z medalikiem na szyję Plichty, a łzy, które w oczach jej zebrały się na matki wspomnienie, upadły na czoło rycerza.

— Dziękuję waćpannie — szepnął Plichta — stokrotnie dziękuję!

Ujął drżącą, malutką rączkę Halszki i do ust przycisnął.

— Nie zapomnę waćpanny — dodał — póki życia!

A Kurzański do Jasinowskiego zbliżył się i szepnął:

— Oni się już mają ku sobie... Uważasz waćpan?...

Jasinowski mrugał oczyma, zerkał na Halszkę, Plichtę wzrokiem przeszywał, potem spozierał na pannę Małgorzatę; to przedrzeźniał Kurzańskiego, jednem mrugając doń okiem, ale do hetmana się uśmiechał. Okrutne jednak pomięszanie znać na nim było, brwi marszczył, storczył wąsy i trzęsącą się ręką puhary nalewał.

— Zdrowie waszej miłości! — rzekł, kielich podnosząc.

— Zdrowie jaśnie wielmożnego hetmana! — huknął Kurzański.

A do Plichty:

— Korzystaj acan!

Stuknęli w kielichy, hetman uściskał pana Symforjana, później go Kurzański obłapił i już nie puścił.

Żółkiewski począł z panną Małgorzatą rozmawiać, Kurzański raz wraz śmiał się do gęby Jasinowskiego, jakby w niej szczególne jakie delicje widział, Plichta do Halszki się zbliżył.

— Nie zapomnisz teraz o mnie waćpan? — szepnęła Halszka.

— Zda się, że nie!... A waćpanna jak sądzisz?

— Nie wiem.

— To ja wiem!... A wy, panno Halszko?

Pamiętać będę.

— Tobie łatwiej, niż mnie, bo okrom tych czterech ścian i portretów onych, nikogo nie widzisz. A ja na pokusy różne narażon jestem, że nieraz człek łeb traci i prosi zmiłowania Bożego.

— Nie mów tak waćpan!

— A właśnie chcę, żebyś wiedziała, iż statecznik nieosobliwy ze mnie.

— Poco waszmość o tem mi mówisz?

— To prawda! poco ja o tem wam mówię? Ale zda mi się, że z Jagodyniec inny wyjadę, niż tu jechałem. Zawsze tam zmówcie na moją intencję paciorek jaki.

— Lepiej do Przemienienia koronkę.

— Tak, tak! To w sam raz za mnie modlitewka! Jak Pan Jezus przemienił się na górze Tabor, tak da Bóg, że się przemieni moja trochę bisurmańska natura.

Odmawiać ją będę.

— A do obozu przyjedziesz jutro waćpanna?...

— Nie moja wola w tem!

— Nie pomoże nic, panie Jasinowski, nie pomoże nic! — mówił Kurzański. — Waszmość i panna Małgorzata i Halszka musicie w obozie pożegnać nas. Wrócim, nie wrócim — Bóg to wie! Na dwoje babka wróżyła...

— Waćpan powiadasz tak, jak Supronicz, brat mój nieboszczyk: na dwoje babka wróżyła — ozwała się Małgorzata.

— Do jutra zatem — rzekł hetman, powstając. — A pamiętaj, panie Jasinowski, że ruszamy ze świtem. Dam ci list zresztą do Reginy. Pierwszy to będzie list z drogi do mojej najukochańszej pisany. Chcę, żebyście byli wszyscy i pożegnali nas.

— Nie odmówić nam woli hetmańskiej — odpowiedział pan Symforjan.

— Pomnij waść, że posłuchem tylko stać możemy. Ja króla, ty hetmana masz nad sobą — dodał z uśmiechem.

— Więc do obozu pojedziem? — zawołała Halszka, podbiegając do ciotki.

Jasinowski „tak“ mruknął, a Halszka zwróciła się do Plichty.

— Waćpan wyjedziesz na spotkanie? — spytała półgłosem.

— Czuję przemienienie bez koronki, a co potem będzie? — zapytał z uśmiechem Plichta.

— Wracaj jeno waćpan żyw, a zdrów!... — szepnęła Halszka.

— Tandem do Reginy piszę — ciągnął hetman — że na czas wojenny do Żółkwi zjeżdżacie. Rada będzie z was, boćto ostatni wy, którzyście mnie widzieli i rozmawiali z żywym i zdrowym. Panie Plichta — czas! — zwrócił się do rotmistrza.

— Do usług waszej miłości!...

— Strzemiennego! — zawołał Kurzański.

— Ać przypominasz mi, jakbym sam o tem nie wiedział... — mruknął Jasinowski.

Znów poszła kolejka — a hetman do Halszki:

— Wypij z nami!...

Halszka nadpiła podany puharek i Plichcie podała.

— Za wasze zdrowie, panie rycerzu!

Plichta z rąk prawie wychwycił puharek podany, wypił duszkiem i cisnął kielich na ziemię.

— Teraz nikt z tego puharka pić już nie będzie! — zawołał.

Kurzański mrugnął i trącił w bok Jasinowskiego.

— Uważasz waszmość?

— Za kogo mnie waćpan masz, że ciągiem w bok szturkasz i „uważasz“ prawisz? — mruknął pan Symforjan.

Wyszli na ganek, Jasinowski podał strzemię hetmanowi i huknął do stojącego pachołka:

— Wrota!

— Czołem! — rzekł hetman.

— Czołem! — odpowiedział Jasinowski.

— Do jutra!... — zawołał Kurzański.

— W obozie — dodał Plichta.

— A już w obozie — stęknął trochę pan Symforjan.

Halszka stała o słup wsparta i patrzyła za odjeżdżającymi. Raz jeszcze pokłonił się Żółkiewski, raz jeszcze Plichta czapkę futrzaną ku górze uniósł — i znikli za wrotami. A Halszka wciąż stała, oczy ku złotemu księżycowi podniosła i cicho mówiła koronkę do Przemienienia Pańskiego.

Do izby, przed chwilą gwarnej, wszedł Jasinowski, a chmurny był jak noc jesienna. Na kominie dogasał ogień, przed kominem na podłodze leżał jakiś stary foliant. Jasinowski go podniósł i do oczu przybliżył.

— Sennik! — zagrzytał i cisnął w ogień.

. . . .

Przez step oświetlony srebrnym blaskiem miesiąca, Żółkiewski do obozu wracał. W trawach strzygły piosenkę swoją koniki polne, wiatr lekki poruszył burzanami i cichym szeptem z nocą rozmawiał.

Żółkiewski jechał milczący, więc nikt nie zaczynał rozmowy; Plichta także pogrążył się w zadumie jakiejś, Kurzański tylko na obu patrzał i krzywił się, jakby był nie rad z towarzyszy.

Tak ujechali staj kilka.

Nagle hetman zwrócił się do Kurzańskiego i rzekł:

— Zaśpiewaj, Jasiu!...

Kurzański chrząknął, wąs pokręcił i popuszczając wodze koniowi, zaintonował:

Kiedy Kupido w centrum serca strzeli,
Na nic mu królów zdadzą się korony —
Smętków niebiańscy nie zmogą anieli,
Człek on zgubiony!

Ani mu jadło, ni napój smakuje,
Ani mu winna zapachnie jagoda;
Dzień najmilejszy zepsowa i truje
Każda przygoda.

Jako zgłodniały zwierz błądzę po lesie,
Nienapatrzony wciąż piękności twojej —
Dziewko natrętna, a ulitujże się
Niedoli mojej!...

Wolej niech zbodzą mnie tatarskie strzały,
Niech się usypie nademną mogiła,
Niżby twe oczy na mnie nie patrzały,
Dziewko przemiła!...

Pieśń rozchodziła się po stepie, a echo aż ku Jagodyńcom ją odnosiło. Hetman jechał milczący, jakby kołysany wspomnieniami dawnemi — Plichta wzdychał.

Kurzański przestał śpiewać.

Po chwili widząc, że nikt z towarzyszy nie zabiera głosu, a rotmistrz w mruka się zabawił, podjechał do Plichty i rzekł:

— Dlaczego waćpan teraz o nic mnie nie pytasz?

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Bajka o miłości“.

Może to było wczoraj, może przed stu laty, może dziś a może dopiero jutro będzie, na świecie żyła sierota imieniem Kasia, na służbie była u bogatych krewnych i co tu dużo mówić, była jakby drugim — Kopciuszkiem z tą różnicą, że nie była wcale ładna. Może to było powodem, że choć miała już lat dwadzieścia i kilka nikt jej nie kochał. A przecież w piersi każdego człowieka tli pragnienie, którego nic zniszczyć nie zdoła, pragnienie być komuś drogim, jedynym, kochanym. Takie też miała pragnienie jedno, jedyne Kasia! Ale czas mijał, młodość jej coraz bardziej gasła a nikt się nie zjawił na drodze jej życia, coby jej chociaż „Kasiu“ powiedział, zawsze dla wszystkich była — Kaśką! A przecież czyniła wszystko, co było w jej mocy, aby wkraść się w serca ludzi. Dla każdego była dobra, usłużna, robocza, myła się w krynicy, która wypływała w głębi lasu, a do której aby się dostać, musiała poświęcać pół nocy snu. Myślała, że ta czysta woda uczyni jej opaloną, piegowatą twarz ładniejszą, jej grube, pokaleczone ręce delikatniejszemi, ale gdzietam, nawet źródlana woda nie pomogła. Płakała teżto nad tem, płakała, ale jedyna korzyść z tego płaczu była ta, że duże, szare oczy Kaśki jeszcze bardziej stały się szare, zmalały i stały się brzydsze.

Nie zapomniała w tej ciężkiej swej trosce i o Bogu. Modliła się z głębi serca, z całej duszy, jak o cud o to jedno, żeby przecież ktoś ją pokochał! Ale zdawało się, że modlitwy Kaśki nie dochodzą przed złoty tron Boga. Mimoto nie ustawała, aż pewnej nocy stał się cud! Kiedy klęcząc w wiejskim kościółku przed obrazem Matki Najświętszej, skomlała wszystkiemi nerwami, całą duszą, całą sobą o tę jedną łaskę, zlitowała się Boża Rodzicielka nad nią i zdjąwszy ze swego płaszcza małe srebrne serduszko spuściła go jej, mówiąc:

— Chowaj sobie to serduszko, zlitowałam się nad tobą, jeśli będziesz je nosiła przy sobie, zdobędziesz serce tej osoby, której będziesz pragnęła, żeby cię kochała. Lecz strzeż się w wyborze! Nim pragnienie zrodzi się w głębi twojego serca, zastanów się dobrze, bo dar, który ci daję, traci swą wartość po czterokrotnem użyciu. Tyle bowiem najwięcej razy, dał mój Syn każdemu ludzkiemu sercu odżyć!

Kaśka nie wiedziała czy śni, czy rzeczywiście to słyszy. Spojrzała na obraz, ale Boża Panienka widniała na nim nieporuszona, jaśniejąca dobrocią i miłością a tylko Kaśce wydawało się, że Jej oczy mówiły: „Bądź ostrożna!“

Nagle poczuła w rękach zimno srebrnego serduszka

— Więc to nie sen, nie? — krzyknęła na głos i upojona radością pognała na wieś odrazu wypróbować dar.

Pierwszy jej wybór padł na parobka Wojtka. Chłopisko to było wielkie, brzydkie i niewiadomo, co się w nim Kaśce podobało, może to, że parob był sielny i siłę miał jak żaden drugi we wsi całej. Kaśka, zaraz zrana zajrzawszy do stajni, gdzie sypiał, pomyślała:

— Ach, jakżebym chciała, żeby mnie Wojtek kochał, a tu nagle Wojtek się budzi, spostrzega Kaśkę, przeciera oczy i mówi:

— A jakaś ty ładna dziś Kasiu!

I o dziwo, zabrał się nawet do całowania, ale się przelękła tej jego obcesowości i uciekła.

Od tego dnia nie dawał jej spokoju, włóczył się za nią kiej urzeczony.

Ale Kaśce rychło znudziła się ta miłość, pojąc nie mogła, czemu ona wybrała takiego Wojtka, zamiast jakiegoś syna gospodarza. Pomyślała: do czterech razy sztuka, pozostały mi jeszcze trzy, pierwszy trzeba stracić, wybiorę drugi raz i wybrała Michałka. Był synem najbogatszych gospodarzy, sam tylko wójt był od niego majętniejszym i ten się nawet więcej Kaśce podobał, ale miał żonę, dzieciska; nie chciała takiej grzesznej miłości. Ale po pewnym czasie, gdy minął szał pierwszych uniesień z Michałkiem, przyszła Kaśka do przekonania, że głupio wybrała i za drugim razem, bo co tam jakiś Michałek i postanowiła, że we wsi niema dla niej nikogo godnego i nic jej nie pozostaje jak iść w świat szukać. Tak też zrobiła!

Aż coś po roku wędrówki przyszła do takiego miasta, które jest największe na świecie i w którym rządzi tak piękny królewicz, że był najpiękniejszym na świecie. W sercu Kaśki obudziło się pragnienie, żeby taki piękny, taki królewicz ją pokochał! Cudowne serduszko zdziałało to. Cały dwór, lud, ministrowie, wszyscy się dziwili, gdy królewicz począł ją darzyć swą miłością.

— Czyż mało ma cudzych dziewic, równych mu urodzeniem, — szemrali w zdumieniu, — że wybral tę brzydką, starą, ubogą jakąś Kaśkę? Widzieli w niej istotne zło, tylko królewicz jeden zaślepiony nie widział nic i tak był oczarowany, że chciał ją mimo sprzeciwu uczynić małżonka swą najmilejszą królową.

Ale zanim do tego doszło, odeszła Kaśka z największego miasta na świecie, od najpiękniejszego królewicza na kuli ziemskiej. Czuła bowiem, że to nie jest ta miłość, do której tęskniła, że ani ona jego ani on jej nie rozumie, że to dwa różne światy.

Pozostawała jej czwarta i ostatnia próba, ale Kaśka bała się z niej korzystać, w uszach brzmiały ostatnie słowa Bożej Rodzicielki: „Bądź ostrożna w wyborze!“ i ostrożność swą posunęła do tego stopnia, że już nie wybierała nikogo. Wróciła na wieś, długo nosiła srebrne, cudowne serduszko, aż pewnej nocy zaszła znów do rodzinnego, wiejskiego kościółka i złożywszy je na ołtarzu, modliła się znów całem sercem, całą duszą, całą sobą, żeby ktoś poczuł do niej miłość, ale nie taką cudowną, ale ludzką, żeby nie ona wybierała, ale ją wybrano i żeby ta czwarta miłość już jej nie zawiodła.

Czy wysłuchała ją Matka Najświętsza niewiadomo, ale chyba, jak w każdej — bajce!

Władysław Marja Bodnicki.

W zimie.



Na płotach przydrożnych na drzewach
Usiadły milczące śpiewaki —
Wiatr płaszcze pierzaste podwiewa,
Więc kwilą zmarznięte biedaki:
Cir... cir... daj chleba człowieku mój bracie.
Cir... cir... Bóg dobry ci za to zapłaci!
Cir... cir... cir!...

Śnieg zawiał zaciszne schroniska,
Wiatr gniazdka potargał i krzewy
Pogasił słoneczne ogniska
Wesołe szczebioty i śpiewy —
Więc zamiast piosenki swobodnej,
Szczebiocze wróbelek: Jam głodny!
Cir... cir... cir!...

Pod oknem na mrozie na śniegu
Rozsiadły się małe żebraki —
Cir... cir... o okruch prosimy was chleba...
Cir... cir... zgłodniałe ziębnięte my ptaki
Cir... cir... gdy przyjdzie radosne znów lato
Piosenkę zanucim wam za to —
Cir... cir... cir!

K. Ł. Łza.

Od młodości w jarzmie krzyża.



Pobyt Pana Jezusa na ziemi od chwili narodzenia aż do strasznej śmierci na krzyżu, to jakby drogocenny łańcuch, którego ogniwami są bolesne chwile z życia Miłośnika ludzkości. Wszak już jako niemowlę wziął Jezus na swą szyję jarzmo nędzy i cierpień doli człowieczej i niósł je z ochotą, z zaparciem przez przeciąg 33 lat, choć ciężar jarzma zwiększał się z dniem każdym, choć kolce poniżeń, wzgardy i hańby, ran i katuszy, które Mu przygotowała sprawiedliwość Ojca i złość niewdzięczników, kłuły Odkupicielowi i duszę i ciało.

A im dalej w życie, tem upokorzenia Jezusa się mnożą. W szarym trybie. Prawodawca wszechwładny poddaje się prawu, kiedy, wypełniając ceremonję obrzezania, składa pierwsze krople krwi, niejako zadatek na wykup z niewoli szatańskiej utraconych synów. Przy obrzezaniu otrzymało Boże Dziecię najświętsze imię Jezus.

A gdy Jezus miał dni czterdzieści, zanieśli Go Marja i Józef do kościoła jerozolimskiego, aby Go ofiarować Bogu Ojcu. Wówczas nad Bożem Dzieciątkiem rozległy się wieszcze słowa bogobojnego starca Symeona, wywołując w myślach Najświętszej Matki jakby widmo przysłych boleści, które miały spaść na Matkę i Syna: „Oto Ten jest położon na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą. A duszę Twą własną przeniknie miecz".

Jako dwunastoletni chłopczyk trudzi się Jezus do świątyni jerozolimskiej, gdzie zostawiony przez rodziców trwa 3 dni na modlitwie, jednoczy się z Ojcem Niebieskim i wstawia za grzesznym rodzajem ludzkim.

Powróciwszy do domu, nie wyróżnia się niczem od swych rówieśników. Choć w świątyni zajaśniał na chwilę blaskiem Bożej mądrości, wprawiając w zdumienie uczonych Izraela, znów usunął się w ciszę na lat 18 i to jedno tylko mówi o Nim Ewangelja święta: „że rodzicom był poddany, a pomnażał się w mądrości, w latach, w łasce u Boga i u ludzi".

W szarym trybie życia, w domku matczynym, zaprawia się Jezus do przyszłych goryczy i cierpień, z któremi dzieło odkupienia było związane. W mozołach przy warsztacie św. Józefa, na posługach swej Rodzicielce wiedzie żmudny żywot. Siekiera, dłuto czy piła trudzą Jego ręce, nieraz troska zasępi pogodne Jego oblicze o utrzymanie kochanej Matki, przybranego ojca.

Aż w młodzieńczą Jego pierś uderza bolesny cios, gdy do swej chwały powołał Bóg sędziwego Opiekuna Najświętszej Rodziny. Teraz na barki Jezusa spadł ciężar starań i zabiegów o znośny los dla Matki. Lecz „poddany“ Syn nie uląkł się trudów. W ciszy, w codziennej walce o kawałek chleba biegły Jezusowi lata, zbliżając coraz więcej przełomowy moment w dziejach ludzkości, którym było: publiczne wystąpienie Zbawcy świata z nową nauką wiary i obyczajów, która naród wybrany miała oczyścić z fałszu i obłudy, a ludom pogańskim wskazać pewną i świetlaną drogę z mroków ciemnoty i bagien zgnilizny do świtu, do uzdrowienia.

Oto droga życia Jezusowego szła od młodości w jarzmie krzyża, aż do śmierci na drzewie krzyżowem.



MACIEK BZDURA GADA:

Wiadomo, ze Kasper Opiela z Psiej Wółki, choć chłop ogromnie pracowity i zapobiegliwy, ledwie mógł koniec z końcem związać, a zycie ułatwiał se tak, ze jak jednego dnia jadł obiad, to drugiego śniadanie, a na trzeci wiecerzę i tak jakosik pchał bidę, ze się śmierci nie dał wziąć za bary. Ale casem i na najbidniejsego spadnie jakiesik scęście, niewiadomo skąd i poco. Tak się stało i z Kasprem Opielą. Skądsiś zabłąkało się do niego młode gąsie, a choć się pytał i sukał właściciela, nikt się po nie nie zgłosił. Opiela od gęby se odejmował i karmił gąsie, jaz je wykarmił na dorodną gęś.

Pewnego razu Opiela zabił gęś, upiekł ją i miał zjeść. Ale se pomyślał, ze jak ją zje, to rozboli go po niej wyposcony brzuch, a wskutek tego nie będzie miał pozytku, ale jesce większą skodę. Umyślił se więc zanieść ją dziedzicowi.

—Jak ją weźnie — myśli se — i mnie nic nie da, to i tak niewiele stracę. A moze tez ulituje się nad moją biedą i zechce mnie wspomóc choć trochę.

Pan się z daru uciesył i powiada do Opieli:

— Wies ty co, zjemy tę gęś razem, ale ty ją podziel, tylko sprawiedliwie.

Opieli nasła chęć na pachnące mięso, ale bierze nóz i dzieli: Panu główka, bo pan rodziny całej głowa; pani ogonek, bo się w sukniach ogoniastych snuje po domu. Dwom synom po nózce, by chodzili kiedyś temi ściezkami, po których ojciec sam chodzi dotąd za gospodarstwem; dwom córkom po skrzydełku, zeby prędko porosły i zamąz z domu wyleciały, a ojcu nie kłopotały głowy. A reszta — dodaje, garnąc gęś ku sobie — dla mnie będzie, bom najgłodniejsy.

— Cym bez krzywdy podzielił? — zapytał Opiela uśmiechającego się dziedzica.

— Bez krzywdy, bez krzywdy, mój drabie — powiada pan — a ześ i mądry i sprawiedliwy, wspomogę cię jesce.

To rzekłsy, kazał pan biedakowi zboza wydać z gumna, krówkę i prosiaka dołozyć. Więc tez ubogi Opiela z radością powrócił do chałupy.

Dowiedziawsy się o tem jego bogaty sąsiad, Wawrzek Oskoma, który był okrutecnie zazdrosny, zarżnął pięć najpiękniejsych gęsi, upiekł je i panu niesie, tak sobie medytując:

— Ile ja tez za nie dostanę? Jeśli ten oberwaniec Opiela za jedną gęś przyprowadził do chaty krowę i prosiaka, to mi się chyba ponadto jesce owiec para i koników nalezy.

Wziął pan owe pięć gęsi, podziękował i prawi:

— No teraz mi je podziel, zeby krzywdy nikomu nie było.

Wawrzek drapie się w głowę i pada:

— Zebym ich miał siedm, tobym wnet dał sobie radę, ale piątki tej nijak podzielić nie mogę.

— Toś fujara! — pan na to. — Zawołaj mi więc swojego sąsiada, Kaspra Opielę, moze on to jako wyśtuderuje.

Oskoma rad nie rad, ale posed po Kaspra i opedzioł mu, w cem jest rzec.

Idzie więc znów biedacyna do dworu, siada przy stole i tak dzieli:

— Pan, pani i jedna gąska — to troje. Synowie obaj i jedna gęś — to zasie troje. Córki obie i jedna gęś — to takze akuratnie troje. Bez krzywdy i urazy: ja i dwie gąski — to takze troje. Cóz panie, cym sprawiedliwie podzielił?

Uśmiał się pan serdecznie z tego podziału i za dowcip chudzinę pochwalił, a Wawrzka Oskomę z kwitkiem odprawił, bo głupi był i zawistny. A zasię Kaspra na drugi dzień zawiadomił jesce, ze mu przepisuje pięć morgów gruntu, aby miał z cego zyć i bidy nie cierpiał.

Tak tedy na swem dowcipie i scyrem sercu Kasper dorobił się majątku, a Wawrzka zawiść i zazdrość zostały ukarane, bo nie ino pięć gęsi za bezdurno stracił, ale naraził się na śmiech całej Psiej Wółki.



Kujmy pancerz...

Kujmy bracia wspólną siłą,
Wielki pancerz z twardej stali,
By ochronić Matkę miłą,
Jak Ją dawniej ochraniali,
Nasi mężni praojcowie,
Którzy dawno leżą w grobie.
Kujmy pancerz nie młotami,
Bo już taki nie pomoże,
Ale kujmy go słowami,
A Bóg wielki nam pomoże.
Kujmy pancerz naszą pracą,
Wykujmy go w naszej ziemi,
Kujmy dolą swą wieśniaczą,
Taki nigdy się nie zmieni.
Słuchaj Polsko głosu mego,
Złoty pancerz Ci kowamy,
Z naszej pracy z trudu swego,
Który chętnie ci oddamy.
Byś potęgą swą i siłą,
Ponad inne zajaśniała
A wolnością nam tak miłą,
Nas oraczy obdarzała.

Józef Foryś.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Tunis I.

Algerja i Tunis, dwa sąsiadujące ze sobą kraje, leżą na afrykańskim brzegu morza Śródziemnego. Oba należą obecnie do Francji. Są bardzo górzyste, tam dość duży handel, a pierwszy nasz obrazek przedstawia właśnie jarmark w Menzelu.

Po upadku państwa kartagińskiego, o czem jeszcze pomówimy w następnych numerach „Roli",



Jarmark w Menzelu.

mimo to rolę mają żyzną i przez rolnictwo kraj ten był w starożytności bardzo bogaty; długowieczne jednak rządy muzułmańskie sprowadziły upadek i ubóstwo. Kraj ten rodzi teraz w wielkiej obfitości dwu- i trzykrotnie w roku doskonałe jarzyny, które wysyła do Francji. Słynne są tam konie. Południowa część obu tych krajów sięga w bezwodną pustynię Sahary. Kraje te liczą około 3 miljony mieszkańców, którzy wyznają wiarę mahometańską. W starożytności znajdowało się na tem miejscu potężne państwo pod rządami handlowego miasta Kartaginy.

I dziś jeszcze, jak to już powiedzieliśmy, kwitnie Tunis przeszedł w posiadanie Rzymian i Arabów, a następnie był państwem hołdowniczem Turcji. W roku 1881 objęła nad niem protektorat Francja na podstawie układu z bejem Tunisu, któremu przyrzekła swój protektorat i zapewniła następstwo na tron jego rodzinie. Koło beja znajduje się francuski minister rezydent jako pośrednik pomiędzy rządem francuskim a bejem.

Ludność jest tam arabsko-mauretańska i nieco Europejczyków i żydów.

Północne brzegi okrywają piękne lasy, po szottach hodują palmy daktylowe, wyżynę pokrywa



Ruiny rzymskich łaźni w Telepte.

halfa, pełno wszędzie żywicznych akacyj, kwitnie bardzo uprawa wina. Słaba jest hodowla bydła rogatego, większa jest hodowla kóz i owiec. Morze dostarcza soli, znajduje się tam saletra, ołów i rtęć. Na wywóz dostarcza kraj oliwy, halfy, jarzyn, zboża, bydła, wełny, skór, ryb, daktyli, garbnika i gąbek.

Stolicą kraju jest miasto Tunis, położone na stokach góry nad płytką zatoką Bahirą, połączone wąskim kanałem z zatoką Tunetańską. Miasto obwarowane, jak wszystkie zresztą tej okolicy miasta. Ale jest to miasto brudne z wąskiemi uliczkami, lecz z pięknym widokiem na morze. Ludność oddaje się głównie przemysłowi i handlowi. Liczą pomiędzy nią około 40.000 żydów i tyleż Europejczyków. Na półwyspowatym wyskoku lądu znajduje się Goletta, zamieszkała przeważnie przez Włochów.

Na zachód od Tunisu znajdują się starożytne ruiny starożytnej Utyki.

Świętem miastem Arabów jest Kairuan, które ściąga mnóstwo pielgrzymów. Przez kilka wieków było ono stolicą muzułmańskiej Afryki, dziś jest wielkiem targowiskiem handlowem z licznemi Karawanserajami.

Południową stroną Tunisu ciągnie się zapadłość, sięgająca miejscami poniżej zwierciadła morza, a w niej wysychające szotty, groźne niebezpieczeństwem dla podróżnych. Pokryte są bowiem powłoką soli, przykrywającą bezdenne bagna. Jeżeli człowiek, czy wielbłąd, odbywający tamtędy drogę, zboczy ze ścieżki, często bardzo wąskiej, na ową solną powłokę, to znajdzie się wnet w bagnie i tonie, a ponad nim osadza się znów nowa powłoka i zaciera wszelki ślad strasznego grobu. Wypadki takie są dość częste; wpadają w szotty nieraz najdoświadczeńsi przywódcy i pociągają za sobą śmierć całej karawany. Zdarzało się, że naraz po kilkadziesiąt, po kilkaset, a nawet tysiąc wielbłądów śmierć w szottach znalazło.

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki podajemy jeszcze na drugim obrazku pamiątkę po panowaniu Rzymian w Tunisie, a mianowicie ruiny rzymskich łaźni w Telepte.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ VII.

W ciągu dni następnych (13, 14 i 15 czerwca) barometr spadał powoli lecz stale, co wskazywało, że pogoda ma zamiar trzymać się na pograniczu deszczu, wiatru i burzy. Wietrzyk południowo-zachodni wyraźnie zyskiwał na sile. Oznaczało to wiatr nieprzyjazny dla „Marzenia“, które musiało pokonywać dość silny prąd od przeodu. Zwinięto tedy żagle, puszczając w ruch śrubę, jednakowoż przy małym nacisku, dla uniknięcia bardzo niemiłego tłuczenia.

Godfrey znosił dobrze następstwa chybotania i huśtania się statku, ani na chwilę nie tracąc dobrego humoru. Widać było, że dzielny ten młodzieniec kocha morze.

Tartelett natomiast nie kochał morza, a ono mu się też odwzajemniało. Trzeba było widzieć, jak ten profesor, wyuczający eleganckiej postawy, nie mógł wogóle trzymać się na nogach, jak mistrz tańców balansował wbrew wszelkim zasadom swego kunsztu.

Przy gwałtownych uderzeniach bałwanów, do głębi wstrząsających statkiem, Tartelett nie był w stanie wytrzymać w swej kabinie.

— Powietrza! Powietrza! — jęczał.

Nie opuszczał tedy pokładu. Każde chybotnięcie przerzucało nim z jednej strony na drugą, każdy wstrząs miotał nim to w tył to naprzód.

Że też William W. Kolderup mógł go skazać na podobne męki!

— Jak długo może potrwać to ohydne powietrze? — dwadzieścia razy dziennie zapytywał kapitana.

— Hm! Barometr nie zapowiada nic dobrego! — mruczał Turcotte, posępnie marszcząc brwi.

— Czy rychło będziemy u celu?

— Rychło, profesorze, rychło! Hm! Tylko musi jeszcze minąć trochę czasu.

— I to się nazywa oceanem Spokojnym! — wykrzyknął nieszczęśliwiec, znów się zataczając, to naprzód, to w tył.

Mistrz Tartelett cierpiał jednak nietylko z powodu choroby morskiej. W równym stopniu męczyło go uczucie lęku na widok spienionych fal, sięgających pokładu, trzask westyli, podnoszonych przez silne uderzenia bałwanów.

— Nie! To przecież niemożliwe! Wcześniej, czy później musimy się gdzieś rozbić — powtarzał raz po raz, mętnem spojrzeniem obejmując Godfreya.

— Spokojnie, panie Tartelett! — odpowiadał Godfrey. — Statek po to przecież istnieje, by płynął! Cóż w tem u licha, tak okropnego!

— Nie, tego już pojąć nie mogę!

To rzekłszy, profesor umocnił na sobie pas ratowniczy. Nie rozstawał się z nim, ni we dnie, ni w nocy. Nie byłby go oddał za skarby świata. Ilekroć morze się na chwilę uspokoiło, nadymał go ponownie. Ciągle mu się zdawało, że nie jest dostatecznie napełniony parą.

Pogoda pogarszała się z dnia na dzień, grożąc bliską burzą, o której morskie latarnie nadbrzeżne byłyby niewątpliwie ostrzegły „Marzenie“, gdyby było bliżej brzegów.

Aczkolwiek w ciągu dnia okręt chwiał się straszliwie na wszystkie strony i płynął tylko słabą siłą pary, by nie uszkodzić maszyny, to jednak przy silnie wzburzonej powierzchni morza, śruba raz pogrążała się głęboko, to znów widniała ponad wodą. Dlatego skrzydła jej z olbrzymim rozmachem pruły głębiny, to znów ponad linją wód pracowały z naporem, mogącym łatwo uszkodzić maszynerję. Zdawało się, że z pod pomostu „Marzenia“ dochodzą dziwne jakieś odgłosy huków, a tłoki funkcjonowały z taką szybkością, że maszynista nie mógł sobie dać rady.

Godfrey uczynił spostrzeżenie, nie mogąc sobie jednak wytłumaczyć przyczyny: że mianowicie w nocy, wstrząśnienia statku były mniej silne, niż we dnie.

Czyżby nocą wiatry były mniej gwałtowne, czyli że po zachodzie słońca nastawała cisza?

Zjawisko to występowało tak wyraźnie, że w nocy z 21 na 22 czerwca postanowił zbadać jego przyczynę. Dzień był bardzo burzliwy, wiatr się wzmagał z godziny na godzinę, a nic na to nie wskazywało, by noc miała przynieść odpoczynek morzu, od tylu godzin smaganemu wichrem rozszalałym.

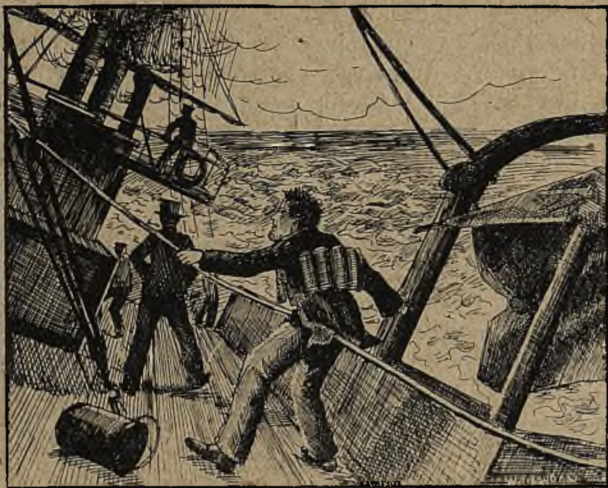
Nazajutrz rano, dnia 22 czerwca „Marzenie“ zwróciło się w poprzednim kierunku, jak to był za-

powiedział kapitan, pomimo że wiatr niezbyt się uciszył.

Ta jazda, nocą na wschód, we dnie na zachód, trwała jeszcze 48 godzin. Barometr okazywał jednak tendencję podniesienia się, a wahania jego stawały się coraz rzadsze. Należało przypuszczać, że kiepskie powietrze ustąpi przed wiatrami, zawiewającemi teraz od północy.

I tak się stało.

Gdy dnia 25 czerwca Godfrey o 8 rano wyszedł na pokład, świeży wietrzyk północny rozwiewał



Mistrz Tartelette na okręcie.

ostatnie strzępy chmur. Promienie słońca prześlizgując się między linami, malowały płomienne plamy we wszystkich kątach pokładu. Morze silnie rozfalowane, lśniło dokąd okiem sięgnąć, jakby skąpane w promiennej jaśni. Wiatr słał tylko lekkie podmuchy, wytwarzając białą pianę na grzywie fal, a dolne żagle znów się rozpościerały w słońcu. Właściwie nie były to już fale, lecz podłużne smugi wód, lekko kołyszące statek.

To wszystko było jednak całkiem obojętnem dla profesora Tarteletta, który był ciągle chory, bez względu na to, czy morze było spokojne, czy zburzone. Nawpół leżąc na pokładzie, raz po raz szeroko otwierał usta, chwytając powietrze, jak ryba wyrzucona na piasek.

Porucznik stał na podwyższeniu, przez lunetę patrząc w kierunku północno-wschodnim.

Do niego przystąpił Godfrey.

— I co, panie poruczniku — rzekł wesoło — dziś chyba lepiej, niż wczoraj?

— Tak, panie Godfrey, wjechaliśmy wreszcie na spokojne wody — odparł zagadnięty.

— A czy „Marzenie" płynie już we właściwym kierunku?

— Jeszcze nie!

— Jeszcze nie? Dlaczego?

— Bo podczas ostatniej burzy statek został prawdopodobnie rzucony w kierunku północno-wschodnim i musimy dopiero stwierdzić jego położenie. Słońce tak świeci i horyzont jest całkiem jasny, więc w południe zmierzymy położenie i kapitan określi dalszy kierunek.

— A gdzie kapitan?

— Opuścił okręt.

— Opuścił okręt?

— Tak, nasze straże, zapewne wskutek białawej barwy wody, miały zauważyć na wschodzie jakieś rafy, których niema na mapie. W każdym razie kapitan uznał za właściwe to zbadać, więc w towarzystwie sternika i trzech majtków wyruszył w szalupie we wskazanym kierunku.

— Dawno już wyruszył?

— Przed niespełna dwiema godzinami.

— Ach! — zawołał Godfrey. — To mnie irytuje! Dlaczego mnie nie zawiadomiono? Byłbym chętnie mu towarzyszył.

— Pan spał wtedy — rzekł oficer, — a kapitan nie chciał pana budzić.

— Bardzo żałuję; proszę mi jednak powiedzieć, w którym kierunku wyruszył kapitan.

— Na północny wschód, mniej więcej jak wskazuje windugą u steru — odparł oficer.

— Czy nie możnaby ich zobaczyć przez lunetę?

— Och nie, muszą być bardzo daleko.

— Rychło wrócą?

— Tak, rychło wrócą — odparł oficer. — Bo kapitan chce sam zrobić pomiary, więc musi tu być przed południem.

Usłyszawszy tę odpowiedź, Godfrey usiadł na przedzie okrętu w pobliżu steru i kazał sobie przynieść lunetę, by przez nią obserwować powrót szalupy. Wyjazd kapitana w celu zbadania morza, wydał mu się czemś całkiem naturalnem. Niepodobna przecież narażać się na niebezpieczeństwo, płynąc na oślep, gdy bądź co bądź owe sygnalizowane rafy, istotnie mogły istnieć.

Minęły dwie godziny. Dopiero o pół do jedenastej, na horyzoncie zarysowała się lekka smużka dymu.

Prawdopodobnie wraca szalupa po zbadaniu otoczenia.

Godfrey z przyjemnością obserwował jej nadpływanie. Przez lunetę coraz wyraźniej rozpoznawał kontury, które stawały się coraz większe i wyrazistsze, a smugi unoszących kłębów pary wodnej, odcinały się falisto od gładkiego tła horyzontu. Była to doskonała łódź, a pędząc całą siłą pary, z błyskawiczną szybkością zbliżała się do statku. Po kilku chwilach można ją już było dostrzec gołem okiem. Około godziny jedenastej Godfrey dostrzegł białe piany, wyrzucane przez tram, a z tyłu długi, biały pas, ciągnący się niby ogon komety.

O kwadrans na dwunastą kapitan przypłynął do „Marzenia" i wskoczył na pokład.

— Co nowego, kapitanie? — zagadnął Godfrey, potrząsając jego prawicą.

— Ach, dzień dobry, panie Godfrey.

— I cóż te rafy?

— Złudzenie optyczne — odparł kapitan. — Nie dostrzegliśmy nic podejrzanego. Naszym strażom coś się przewidziało. Mnie się to odrazu wydało nieprawdopodobnem.

— Tedy ruszamy dalej! — zawołał Godfrey.

— Tak, popłyniemy znów w poprzednim kierunku, ale wpierw muszę wziąć pomiary.

— Każe pan wziąć szalupę na pokład? — spytał Godfrey.

— Nie, — odparł kapitan. — Może płynąć za nami, jako holownik „Marzenia".

W trzy kwadranse później kapitan uzbrojony w odpowiednie instrumenty, wziął pomiary położenia, poczem określił dalszy kurs parowca.

Raz jeszcze objąwszy spojrzeniem widnokrąg, na którym nie było już ani jednej chmurki, zawezwał porucznika do swej kajuty, gdzie dość długo nad czemś się naradzali.

Pogoda była prześliczna. „Marzenie“ szybko mknęło po lustrzanej tafli wód, nie rozpinając żagli. Bo wiatr był tak słaby, że nie byłby w stanie wzdąć żagli, natomiast maszyna pracowała pełną siłą pary.

Zapadł wieczór. Gęste mgły snuły się nisko, dotykając niemal statku. Zapowiadała się noc ciemniejsza, niż można się było spodziewać po dniu tak pogodnym.

W tej strefie morza, przez kapitana Turcotte dokładnie oznaczonej na mapie, nie należało się obawiać żadnych skał podwodnych; w ciemności nie było jednak wykluczone zderzenie okrętów, zwłaszcza w noc tak mglistą.

To też po zachodzie słońca, pozapalano wszędzie światła. Białe światło płonęło na szczycie masztu, a po bokach umieszczono z prawej strony światło zielone, z lewej czerwone.

Gdyby przy takiem oświetleniu statek jakiś wjechał na „Marzenie“, to prawdziwie nie byłoby to jego winą. Pociecha coprawda marna, bo zatonięcie bez winy, nie przestaje być zatonięciem. Jeśli ktoś z podróżnych w ten sposób rozumował, to był nim niewątpliwie profesor Tartelett.

Narazie jednak biedaczysko, chwiejąc się i zataczając, położył się w swej kajucie, a Godfrey również udał się na spoczynek. Pierwszy miał iskrę nadziei, drugi pewność, że noc minie spokojnie, wobec tego, że „Marzenie“ po gładkiej tafli wód płynęło teraz całkiem spokojnie.

Oddawszy komendę porucznikowi, Turcotte również udał się do swej kajuty, by bodaj przez parę godzin zażyć odpoczynku. Statek mógł płynąć całkiem bezpiecznie, bo mgły nie zdawały się zgęszczać, unosząc się w przyzwoitej wysokości ponad statkiem.

Godfrey po dwudziestu minutach spał zdrowym snem młodości, a głębokie miarowe oddychanie Tarteletta, który zgodnie ze swym zwyczajem, w ubraniu rzucił się na łóżko, wskazywały, że i on również zasnął.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czerwony kwiat.

— Za tydzień wydaje Kotowski bal — szepnął młodzieniec. — Ida powiedziała mi, że będzie całą noc tańczyć zemną, jeżeli jej dam czerwony kwiat chryzantemowy. Oto od jakich drobnostek zależy szczęście. Mam ten piękny kwiat w domu, więc nie będę miał trudności, zerwię jeden i dam jej skromny upominek. Perłami i drogiemi kamieniami nie płaci się za niego, ani wagą złota mierzy się jego wartość.

Kotowski, szwagier Idy, wydaje jutrzejszej nocy bal — mówi piękny młodzian. — Doprawdy: jestem najszczęśliwszym człowiekiem na kuli ziemskiej. Jutro będę tańczył z mą ubóstwianą Idą całą noc. Kocha mnie: to jest istotnie prawda, a ja też kocham tę istotę. Boże! za jeden kwiat tyle szczęścia.

Położył się na kawalerskiem łóżku i zasnął z uśmiechem na ustach.

Rano, gdy się zbudził, powiedziano mu, że wielka wichura szalała w nocy, że otwarła okna, połamała gałązki, a mróz zwarzył kwiat chryzantemy.

Oblekła się twarz młodzieńca bladością, a smutek wyrył swe piętno na jego czole.

— Niemam kwiatu, więc po mojem szczęściu. Nie będzie tańczyć zemną i nie będę jej trzymał w objęciach, jej ręka nie uściśnie mojej. Jej radość będzie moim bólem i rozpaczą. Nie pomyśli o mnie, nie spoglądnie, a moje biedne serce pęknie z żalu.

— Orkiestra zasiędzie — mówił dalej — uderzy w instrumenty, a moja Ida będzie tańczyć z innym przy miłych dźwiękach muzyki. Burza połamała moje szczęście!

Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Po chwili podniósł głowę i począł dumać o świętych misterjach miłości.

— Zaiste miłość jest prawdziwie dziwna rzecz, ale cóż... Przeczytałem wszystkie księgi, które pisali mędrcy i zgłębiłem wszystkie tajniki filozofij, a co kobieta kryje w sobie, tego nie mogę zbadać. Ona zawsze coś obiecuje, co nie nastąpi i każe wierzyć w rzeczy, które nie są prawdą. Ida kazała mi wierzyć, i mówiła, że człowiek stworzony dla człowieka.

Włożył kapelusz i wyszedł na ulicę, pytając o czerwony kwiat.

— Zapłacę dobrze — mówił.

Jakaś pani mówi:

— Ja mam kwiat chryzantemy, ale żółty, tak żółty, jak narcyz, żółty jak włosy syren, jak tron bursztynowy.

Słońce już zaszło, a on biega od domu do domu, pytając o czerwony kwiat chryzantemy, a za nim biegnie szept kobiet.

— Piękny. Włosy ma, jak pęk hjacyntu, usta krasne, jak róża wschodu, tylko namiętność przyoblekła twarz jego bladością.

— Panie, ja mam kwiat — mówi jedna z pań, ale biały, tak biały, jak piana morska, biały, jak śnieg w górach.

Kupił młodzieniec kwiat biały, a przyszedłszy do domu, obnażył pierś swą i naciął ją żelazem. Prysnęła krew na biały kwiat chryzantemy. Zaczerwienił się kwiat i był czerwieńszy od łodyg korala, a jak rubin serce kwiatu.

— Gotowe! Co za szczęście — szepcze — nigdy w życiu nie widziałem piękniejszego kwiatu. Cudny, zabarwiony krwią własnego serca. O! miłości, jakaś ty silna, tyś silniejsza od najsilniejszej potęgi. Masz skrzydła ogniste, które palą wszystkie przeszkody, usta słodsze od miodu, a oddech wonny, jak kadzidło. Będę tańczył z nią!

Zawinął ranę, która pękła i paliła, wziął kwiat i pobiegł do Idy.

— Powiedziałaś, że będziesz całą noc tańczyć zemną, jeśli przyniosę ci czerwony kwiat chryzantemy. Oto masz cudny kwiat, najczerwieńszy z kwiatów. Gdy będę tańczył z tobą, opowiem ci więcej, opowiem, jak cię gorąco miłuję.

Na te słowa Ida zmarszczyła czoło i z miną drwiącą rzekła:

— Jeden bardzo bogaty pan przysłał mi dziś prawdziwe klejnoty, więc z nim będę tańczyć całą noc. Wszak przecież każdy wie, że klejnoty są więcej warte, jak kwiat.

To powiedziawszy, odeszła.

— O! niewdzięczna! — krzyknął młodzieniec i wybiegł na ulicę, rzucając czerwony kwiat pod koła przejeżdżającej karety tancerza Idy.

Wrócił młodzieniec do domu, otworzył wielką księgę i zaczął czytać głośno. Po chwili odłożył ją na bok i rzekł:

— Chcę być nim... będę żył przyrodą i myślami. Samotność dla mnie najlepsza. Resztę życia na pustelni przepędzę.

Gdzieżeś się podziało szczęście człowieka??!...

Maryśka z Kamionki.

Poradnik gospodarczy.

Katar u zwierząt.

Katar u zwierząt powstaje przez zaziębienie wszelkiego rodzaju, np. skoro zwierzę zgrzane napojone zostanie zimną wodą, lub zostanie wystawione na działanie zimnego wiatru, szybko długotrwający bieg pod zimny wiatr, a także, gdy po mocnem rozgrzaniu, a szczególniej spoceniu, wprowadzi się zwierzę do stajni zimnej, narażonej na przeciągi. Nic więc dziwnego, że katar zdarza się tak często w jesieni i na wiosnę, gdyż w tych czasach zmiany ciepłoty powietrza są najczęstsze.

Objawy kataru są łatwo do poznania: błona śluzowa nozdrzy i pyska bywa mocno zaczerwieniona, z obu przewodów nosowych wydziela się z początku płyn wodnisty, później śluzowaty, apetyt słabnie, natomiast powiększa się pragnienie. Oddychanie bywa w mniejszym lub wyższym stopniu utrudnione, zmiana i zimna i ciepła skóry, a zatem gorączka dostrzegalna, sierść najeżona. U koni można czasem zauważyć boleści w rowie podszczękowym i obrzmienie znajdujących się tam gruczołów.

Choroba ta jedynie przy dobrem pielęgnowaniu chorego bydlęcia może być usuniętą. Trzeba je zatem umieścić w stajni suchej, miernie ciepłej, w której powietrze byłoby czyste, lecz by nie panowały w niej przeciągi. Bydlę okryć ciepłą derką. Gdy się okażą silniejsze objawy choroby, a mianowicie: gdy oddychanie jest szybkie, kaszel mocny, połykanie utrudnione, wówczas trzeba nozdrza podkadzać parą z odwaru siana: poczem wycierać należycie aż do suchości miejsca parą zwilżoną. Rów podszczękowy i krtań smarować tłuszczem wieprzowym i podwiązać czemkolwiek ciepłem, np. kawałkiem kożucha lub szmatą wełnianą.

Przechowanie lodu.

W czasie letnich upałów niejedna z gospodyń narzeka, że nic nie może utrzymać — że wszystko się psuje i masło, i ser, i jaja, a cóż tu dopiero mówić o mięsie. Dostanie go wprawdzie w miasteczku raz na tydzień, lecz cóż, utrzymać go długo nie można, bo w upały już drugiego dnia cuchnie.

Na tę biedę jest jednak rada — zrobić w zimie zapas lodu, a będzie się nietylko miało wygodę, ale i pożytek, bo nic się nie zmarnuje, zwłaszcza że gospodarską lodownię może zrobić każdy, zwyczajny nawet robotnik, bo do tego wielkiego rozumu nie trzeba.

Oto przy północnej stronie jakiegoś budynku, rozumie się nie pod domem, ani stajnią, tylko n. p. pod szopą lub stodołą zrobić lodownię. Najpierw trzeba urządzić taki spadek, by woda z topniejącego lodu nie ściekała do budynku, pod którego ścianą ma być lód składany. Jeśli grunt jest piaszczysty, a zatem przepuszczający ciepło, należy go poprawić przez nawiezienie kilkucalowej warstwy gliny i takową dobrze ubić. Na tak przygotowanym pokładzie układa się stertę lodu w kształcie pryzmy (dachu). Lód należy zwozić w czasie najtęższych mrozów, rozbijać młotami na drobne kawałki i na noc zalewać wodą, aby się z całej masy wytworzyła jedna bryła. Po uformowaniu sterty lodu, robi się nad nią przykrycie w kształcie dachu. Do tego celu posłużyć się można drążkami, które trzeba związać wicią, tworząc w ten sposób niby krokwie. Drążków nie należy dawać rzadko, boby później przy wybieraniu lodu słoma sypała się do wnętrza, a przytem psułaby się okrywa. Na te drążki nakłada się grubą warstwę targanej słomy, lub, co jeszcze lepiej, paździerzy konopnych, by się zaś ta okrywa nie obsuwała, trzeba dokoła nawbijać kołków w ziemię.

Jeśli kto ma miał torfowy, to zrobi lepiej, gdy na drążki da tylko niegrubą warstwę słomy, a na nią dopiero warstwę torfu. W tym razie jednak trzeba na miał nałożyć jeszcze słomy; by wiatr miału nie rozniósł. Dla utrwalenia całej okrywy przed wichrami trzeba ją zabezpieczyć, podobnie jak się to robi przy stertach ze słomy lub siana. Wreszcie z północnej strony trzeba zrobić otwór, służący do wybierania miodu. Otwór ten zatyka się szczelnie worem, wypchanym słomą. Jest to najtańszy sposób przechowywania lodu i jeśli się to wykona starannie, a przytem zgromadzi znaczniejszą ilość lodu, to można go mieć poddostatkiem do nowego.

Poradnik lekarski.

Wartość lecznicza roślin ogrodowych. Mało kto uprzytomnia sobie doniosłą wartość leczniczą naszych pospolitych roślin ogrodowych.

Kto posiada choć mały ogródek — powiada jeden z lekarzy angielskich — jest zarazem właścicielem naturalnego składu aptecznego i cały szereg doskonałych „lekarstw“ może sam sobie wyprodukować.

I tak: szpinak posiada dosyć znaczną zawartość żelaza, którego właściwość wzmacniająca jest dostatecznie znana.

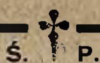
Jeżeli komu dolegają bóle reumatyczne, ten niechaj nie kupuje żadnych opatentowanych „niezawodnych“ środków, lecz niech raczej próbuje wyleczyć się zapomocą — seleru. Jest to znakomita jarzyna lecznicza, przeciwdziałająca tworzeniu się zbytniej ilości kwasu moczowego.

Sentencja opiewająca, że „jabłko w dom nie puszcza lekarza“, już dawno znalazło potwierdzenie ze strony wiedzy medycznej. Kwasy zawarte w jabłku oddziaływują dodatnio na nerki, nadając ciału sprężystość i wygląd młodzieńczy. Jabłoń w ogrodzie stanowi zatem pierwszorzędną inwestycję zdrowotną.

Do jarzyn leczniczych zalicza się także marchew, która atoli, chcąc wykorzystać jej właściwości uzdrawiające, należy jeść w stanie surowym. Marchew jest zarazem środkiem kosmetycznym, gdyż oczyszcza cerę, wypłowiałym włosom przywraca świeży naturalny połysk i paznogciom nadeje różowe zabarwienie, które to szczegóły są niezawodnym dowodem prawidłowego działania organizmu ludzkiego.

Jeżeli po zaopatrzeniu ogródka w szpinak, sałatę, marchew, seler i jabłka, pozostanie jeszcze wolny skrawek ziemi, to zaleca się zasadzić jeszcze chmiel i później wytwarzać zeń sposobem domowym — piwo! Pewna powaga naukowa oświadczyła, że jedynie dzięki warzonemu licznie po domach „swojskiemu“ piwu, zawdzięczać należy fakt, iż w miesiącach zimowych, kiedy jarzyn i owocu jest mało, ludność miast angielskich potrafi skutecznie oprzeć się szkorbutowi, panującemu w tym czasie zwykle nagminnie.

KRONIKA.



Ś. P.

Z BASSARÓW
MIECZYSŁAWA PORĘBSKA

Nauczycielka 50-tej szkoły im. A. Chrzanowskiej w Krakowie, żona kapitana W. P., córka Redaktora „Roli“

po długich a ciężkich cierpnieniach, zaopatrzona św. Sakramentami, zasnęła w Panu w piątek dn. 13 lutego 1931 r. w 31 roku życia. Pogrzeb po nabożeństwie żałobnem w kaplicy cmentarza rakowickiego odbył się dnia 16 bm. o godzinie 10 rano. — Zwłoki złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu wojskowym w Krakowie.

Ś. p. Zmarła była to Istota, którą cechowała rozumna dobroć, życzliwość, wyrozumiałość, pogoda ducha i łagodność charakteru. Postępując śladami tak zacnego Ojca swego, — z mrówczą pracowitością spełniała obowiązki nietylko troskliwej matki i kochającej żony, ale wzorowej nauczycielki. To też w przedwcześnie Zmarłej traci i szkoła polska niezmordowaną siłę, ta szkoła, którą od wczesnych dziecinnych lat tak umiłowała, a od której dopiero nieubłagana śmierć Ją oderwała. Pożegnały Ją też rzewnie dzieci szkolne łzami rzęsiście skrapiając mogiłę Zmarłej.

Cześć Jej pamięci. *x*

Z powodu śmierci ś. p. Mieczysławy Porębskiej, córki p. Antoniego St. Bassary, naszego zacnego Redaktora „Roli“, przesyła najszczersze wyrazy współczucia *Wydawnictwo Tygodnika „Rola“.*

Kolonizacja polska w Angoli. W związku z notatkami, pojawiającemi się w różnych pismach na temat polskich prac kolonizacyjnych w kolonji portugalskiej Angoli, należy wyjaśnić, że w Warszawie powstał Komitet Organizacyjny Towarzystwa Kolonizacji Polskiej w Angoli, jako przedsięwzięcie prywatne, zamierzające zbadać warunki kolonizacyjne i możliwości eksploatacyjne w kolonjach portugalskich. Po porozumieniu się z właściwemi czynnikami portugalskiemi komitet ewentualnie uzyskać może dogodne tereny eksploatacyjne, ale w każdym razie działa w charakterze instytucji czysto prywatnej i od rządu zupełnie niezależnej.

Wypadek na wyścigach. W czasie zawodów konnych w Zakopanem zdarzył się wypadek, który omal nie pociągnął za sobą tragicznych następstw. Po wypuszczeniu ze startu koń Georginia zamiast wyruszyć wraz z innemi końmi zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku. Zgubiwszy narciarza, klacz w szalonym pędzie ruszyła naprzeciw galopującym po torze koniom i przed samą trybuną zderzyła się z całą siłą z klaczą Pamiątką. Oba konie padły martwe na tor. Narciarz doznał w katastrofie lekkiego potłuczenia.

Oszust w sukni kapłańskiej. W Katowicach do żony nadkomiearza urzędu śledczego, Kamińskiego, zgłosił się zakonnik z prośbą o zasiłek na sierociniec. Przybysz legitymował się dokumentami na nazwisko księdza Jana Buzikowskiego. Żonie nadkomisarza kwestarz wydał się podejrzany, zawiadomiła urząd śledczy, który w pół godziny później przytrzymał rzekomego księdza. Okazało się, że jest to oszust, który od dłuższego czasu nadużywa sukni duchownej. Jako ks. O. Huciński bawił w gościnie u OO. Bonifratrów w Cieszynie, gdzie dopuścił się kradzieży obligacyj państwowych. Ponadto dopuścił się on szeregu oszóstw we wszystkich większych miastach Polski. Przesłuchany zeznał, iż nazywa się Stanisław Wołda, pochodzi z Dąbrowy Górniczej i stale mieszka w Krakowie. Przy aresztowanym znaleziono rozmaite dokumenty, z których wynika, że brał on udział w oficjalnych uroczystościach kościelnych W toku dochodzeń ustalono, że w Warszawie występował Wołda jako kapłan, odprawiając nabożeństwa, udzielając sakramentów i słuchając spowiedzi.

Oszustwa z dolarówkami. Na terenie powiatu łódzkiego zanotowano cały szereg afer, dokonanych przez różnego rodzaju kombinatorów, występujących w charakterze akwizytorów i agentów dolarówkowych. Obecnie do władz policyjnych wpłynęły już doniesienia od zgórą 200 osób, poszkodowanych na skutek tych machinacyj, a mimo kilkakrotnych ostrzeżeń publiczności na łamach prasy, jeszcze obecnie napływają coraz to nowe zgłoszenia. W związku z powyższem władze administracyjne łódzkie występują do władz centralnych w Warszawie z wnioskiem o wydanie zakazu sprzedaży domokrążnej premjówek na raty, z tego przedewszystkiem względu, że nawet w wypadku, kiedy akwizytor jest wyjątkowo uczciwy, cena takiej dolarówki kalkuluje się, przy zysku akwizytora i przy specjalnych wydatkach na koszta manipulacyjne i portorja ze strony danego banku, znacznie drożej. Tak więc wydanie odnośnego zakazu nietylko wyeliminuje możność dokonywania nadużyć ze strony niesumiennych agentów, lecz nadto uchroni ludność przed wyzyskiem. Dlatego chcąc uniknąć szkody, należy wystrzegać się kupna dolarówek u pokątnych sprzedawców, a załatwiać te sprawy tylko w bankach.

Tragiczny koniec wiejskiej piękności. Sąd apelacyjny w Lublinie rozpatrywał w tych dniach sprawę wstrząsającej zbrodni, której terenem jeszcze w 1918 r. była wieś Gródek pod Równem. We wsi tej mieszkał w swojej zagrodzie wieśniak Demjan Sajko, ożeniony z młodą, nadzwyczaj urodziwą i zwodniczą jak rusałka Ulitą. Kobieta ta była zakałą całej wsi. Z całym bezwstydem i cynizmem uprawiała w mężowskiej chacie najwyuzdańsze orgje z żołnierzami bolszewickimi, którzy wałęsali się wtedy na naszych kresach wschodnich. Pewnej nocy, gdy nieszczęśliwy mąż sprzeciwił się rozpuście, uprawianej pod jego dachem, został zaduszony przez kochanków swej żony. Wieść o tragicznej śmierci Sajki wzburzyła całą wieś. Postanowiono zemścić się na jego żonie. Tłum ruszył pod dom zaduszonego Sajki, wywalił zabarykadowane drzwi, wywlókł za włosy piękną Ulitę na dwór i tu, bijąc ją i kopiąc po twarzy, wśród okrutnych naigrawań zerwał z niej szaty i nagą po śniegu zawlókł na szosę. Tutaj pijany obłędnym szałem mordu tłum przywiązał ją, zupełnie obnażoną, drutem kolczastym do słupa hańby i pląsając, zaczął się nad nią znęcać z sadystyczną rozkoszą, rwąc drutami kolczastymi ciało Ulity. Wkrótce zwisły, rozerwane w sztuki, trzymające się tylko skóry, piersi Ulity, a z cudnych niegdyś oczu pociekły dwie krwawe strugi. Z otwartych oczu bluzgała krew na drgające w konwulsjach cierpienia ciało, czerwieniąc śnieżną pokrywę ziemi. Po chwili błysnął nóż, ktoś chciał położyć kres życiu Ulity. Lecz srogi tłum nie pozwolił skrócić jej męki. Pijana tłuszcza oderwała Ulitę od słupa, zawlokła ją na podwórze i rzuciła na kupę nawozu. Ulita stra-

ciła przytomność. Wtedy zwyrodniały tłum, widząc, że ofiara nie czuje już męki, począł jej gołe ciało przypalać papierosami. Gdy pod działaniem ognia Ulita się ocknęła, zawleczono ją za włosy i chciano utopić w przerębli, lecz temu się sprzeciwiła większość, mówiąc, że nie trzeba wody zanieczyszczać. Wtedy kilku chłopów zawlokło ją w doły poza wsią, gdzie rzucano padlinę. Wyrwali sosenkę, oczyścili z gałęzi i rozegrał się ostatni akt tragedji. Jeden z chłopów zawołał: Módl się i żegnaj, poczem uderzył ją grubym kołkiem w głowę, zabijając na miejscu. Zbrodnia ta była ukrywana przez 10 lat. Dopiero po 10 latach karząca ręka polskiej sprawiedliwości spoczęła na zbrodniarzach, których skazano na wieloletnie ciężkie więzienie, a sąd apelacyjny obecnie wyrok ten zatwierdził.

Zderzenie pociągu z furmanką. Pociąg zdążający z Lidy w stronę Skrzybowiec najechał na przejeżdżającą furmankę na przejeździe Porzeczany, wskutek czego zdruzgotał furmankę, zabił konia oraz ciężko poranił właściciela furmanki niejakiego Jana Gajdę, mieszkańca wioski Hołdary, gminy lebiodzkiej. Po uprzątnięciu toru pociąg ruszył w dalszą drogę, zabierając ze sobą poranionego Gajdę, któremu na stacji kolejowej Skrzybowce udzielono pierwszej pomocy lekarskiej.

Napad bandytów na dwór. Na dwór ziemianina Piernickiego w Starej Cerkwi koło Starogardu napadło 2 bandytów, którzy poczęli strzelać i ranili syna Piernickiego, Władysława. Ranny dobył rewolweru i celnym strzałem zabił jednego z bandytów Jana Kleina. Drugi bandyta zbiegł, zdołał jednak zrabować biżuterję wartości kilkunastu tysięcy złotych.

Skutki nieostrożnego obchodzenia się z bronią. Syn gajowego 16 letni Jan Kilim we wsi Pogorzele, pow. garwoliński, znalazł w stodole na klepisku dubeltówkę. Kilim obejrzał broń, a następnie z odwiedzionym kurkiem rzucił na klepisko. Uczynił to tak niefortunnie, że nastąpił wystrzał i cały nabój ugodził chłopca w brzuch. Nieszczęśliwego przywieziono do Warszawy i umieszczono w szpitalu. Tam mimo dokonanej operacji, Kilim życie zakończył.

Straszne skutki nieostrożności. Na folwarku Poraszno, w województwie nowogrodzkiem, w czasie przyrządzania obiadu przez kucharkę Władysławę Janikową, posługaczka Aniela Bobikówna nie mogła zapalić w piecu, wobec czego mokre drzewo poczęła podlewać benzyną. Wskutek nieostrożności butla z benzyną zapaliła się w rękach kobiety, a następnie eksplodowała, zalewając palącą się cieczą kucharkę Janikową i Bobikównę. Obie kobiety objęte momentalnie płomieniami zaczęły się palić. Na krzyk palących się kobiet przybyli z pomocą właściciel folwarku Jan Porucki i furman Piotr Malewko, którzy usiłowali kocami ugasić płonące ubranie kobiet. Jednak kobiety z panicznego przestrachu i silnego bólu wybiegły na podwórze i poczęły tarzać się w śniegu, usiłując w ten sposób ugasić płonące ubrania. Porucki z parobkami z trudem zdołali powstrzymać oszalałe kobiety i zastosować środki zapobiegawcze; Janikową i Bobikównę odniesiono do domu, gdzie pomimo wszelkich wysiłków silnie poparzonych kobiet nie zdołano jednak wyratować. Bobikówna i Janikowa po upływie godziny w straszliwych męczarniach zmarły nieprzytomne.

Bezbożnicy palą kościoły. Z pogranicza sowieckiego donoszą, że onegdaj wybuchł groźny pożar w zabudowaniach plebanji kościelnej w Gródku Szumskim okręgu mińskiego. Pożar w szybkim czasie strawił zabudowania i dom księdza proboszcza, poczem ogień przerzucił się na stojący w pobliżu drewniany kościół. Mimo akcji ratunkowej ogień strawił część świątyni. Pożar według wszelkiego prawdopodobieństwa powstał wskutek zbrodniczego podpalenia, gdyż miejscowa jaczejka „związku bezbożników" oddawna odgrażała się, iż „wykurzą z parafji klechę". Miejscowa ludność, która przeważnie jest katolicką i narodowości polskiej, przystąpiła energicznie do zbiórki składkowej na odbudowę spalonej świątyni.

Straszny los więźniów rosyjskich. Gazety angielskie zamieszczają nader wstrząsające opisy życia skazańców politycznych na wyspach sołowieckich. Dzienniki ogłaszają 9 protokołów zeznań uciekinierów z obozów bolszewickich, przesłanych przez posła Bellairsa w związku z wniesieniem przez niego do parlamentu wniosku, dotyczącego zakazu importu drzewa sowieckiego, przy wyrębie którego pracuje około 60 000 więźniów politycznych w obozach leśnych północnej Rosji. Stwierdziwszy charakter przymusowy robót, związanych z gospodarką leśną sowietów, dzienniki na podstawie wymienionych protokołów obliczają liczbę zmarłych na panujący w obozach tyfus na 19.000 w jednym miesiącu maju 1930 r. Obecnie dziennie umiera 15 procent więźniów politycznych, zatrudnionych w obozach leśnych. Przyczyną ich śmierci jest głównie mróz, przed którym nie zabezpieczają otwarte baraki.

Kampanja bezbożników. Związek bezbożników w Moskwie czyni już przygotowania do kampanji przeciwko świętowaniu Wielkiej Nocy. Działalność jego ma być zwrócona przedewszystkiem w kierunku wsi, a za podstawę tej propagandy mają służyć sowchozy i kolektywy rolne. Dla wzmocnienia kampanji antyreligijnej uruchomione mają być zespoły teatralne, wykorzystane kinoteatry, urzędy, wystawy i bibljoteki. Z kampanją tą ma być połączona propaganda za wykonaniem wiosennych zasiewów, a również akcja, zmierzająca do zlikwidowania prawej i lewej opozycji partyjnej i szowinizmu narodowego.

Straszny czyn szaleńca. Miejscowość Gilsdorf pod Berlinem była widownią krwawej tragedji rodzinnej. Robotnik Falmer w następstwie szału wymordował całą swoją rodzinę. Zamknąwszy się w domu, położył strzałami z rewolweru kolejno: żonę swoją, dwoje nieletnich dzieci, matkę i siostrę żony, zaś szwagra, wracającego do domu, postrzelił ciężko, poczem odebrał sobie życie.

40 lat niewinnie w więzieniu. Przed 40 laty rozegrał się w miejscowości niemieckiej Köthen nad Renem „kapitalny" proces, zakończony skazaniem podsądnego, który liczył wtedy 24 lat, na dożywotne więzienie. W miejscowości Droza obok Köthen zamordowaną została mianowicie pewna staruszka i podejrzenie o popełnienie tej zbrodni padło na krewnego jej, Bernarda Thermana, który o tyle był zainteresowany w śmierci owej staruszki, że dziedziczył po niej wraz z innymi krewnymi. Na podstawie sztucznie skonstruowanych incydjów, Therman został skazany, mimo, że przez cały czas śledztwa i procesu zapewniał gorąco, że nie popełnił zarzuconego mu czynu. Przed niedawnym czasem jeden z mieszkańców w sąsiadującej z Droza miejscowości Schönebeck, wyznał na łożu śmiertelnem, że on to zabił krewną Thermana i że Therman niewinnie odsiaduje karę. Po tem zeznaniu, uwierzytelnionem przez wójta i księdza miejscowego, którzy byli świadkami tej spowiedzi umierającego zbrodniarza, poczyniono natychmiast prawne kroki, celem przeprowadzenia rewizji procesu Thermana. Onegdaj Therman opuścił więzienie. Jest to już człowiek fizycznie i moralnie złamany. Kto mu zapłaci za stracone życie? Kto jest w stanie powetować taką krzywdę?

Zgon sławnej Karmelitanki. Z Chambery we Francji donoszą: Zmarła tu na udar serca przełożona

klasztoru Karmelitanek. Przed dwudziestu laty była ona znaną w całej Europie ze swej piękności i bogactwa kobietą. Ojcem jej był markiz Di Rudini, kilkakrotny premjer Włoch. W 17 tym roku wyszła za mąż za markiza Carlotti. D'Anunzio szalał dla niej z miłości i opiewał ją w kilku ze swoich poezyj. Piękna markiza była zapaloną zwolenniczką sportu i objechała na koniu niemal całą Europę. Szereg tragicznych przejść zmienił raptownie jej światowy tryb życia. Wycofała się z życia i poświęciła się dobroczynności. Pieniądze, wydane przez nią na ten cel, obliczają na 120 miljonów franków. Rozdawszy w ten sposób prawie cały swój majątek, wstąpiła do klasztoru, gdzie została przełożoną. Na tem stanowisku pracowała zapamiętale, budując kilka klasztorów we Włoszech i Francji.

Brutalna zemsta. Gazety angielskie donoszą o straszliwej śmierci pewnego młodzieńca w niewielkiem miasteczku szkockiem Brunbarry. Oto bliższe szczegóły tej niezwykłej historji. W Brunbarry opinją elegackiego młodzieńca cieszył się 23 letni urzędnik pocztowy, Karol Setton, chłopak bardzo przystojny, wesoły i sympatyczny. Wszystkie serduszka kobiece topniały w ogniu jego spojrzeń, jak wosk... Budziło to wielkie niezadowolenie rywalów Settona, którzy krzywem okiem patrzyli na jego powodzenie. Jeden z tych młodzieńców, Józef Clade, miał narzeczoną Dorotę, którą namiętnie kochał. Ale po pewnym czasie dziewczyna zaczęła go unikać, a wreszcie oświadczyła, że nigdy nie zostanie jego żoną, gdyż kocha tylko Settona. Doprowadzony do wściekłości Clade zapłonął żądzą zemsty. Umówił się w tym celu z kilku innymi kolegami i w sposób wyrafinowany ukarał donżuana. Oto pod jakimś pozorem wywabił go za miasto. Tutaj Karola przywiązano sznurem do drzewa. Następnie mimo trzaskającego mrozu, zaczęto zlewać Karola, z którego poprzednio zdjęto płaszcz i surdut, kubłami lodowatej wody, aby ochłodzić raz na zawsze jego zapały. „Zabawa" trwała przez dłuższy czas. Wreszcie przemokniętego i zlodowaconego nieszczęśliwca pozostawiono tak, że zamarzł zupełnie. Miejscowa policja natrafiła na ślad zwłok Settona i wdrożyła śledztwo, które niebawem doprowadziło do pochwycenia okrutnych chłopaków.

Omyłka wdowy. Pewien mieszkaniec angielskiego miasteczka Brandford zniknął jednego pięknego dnia z domu, zostawiając zrozpaczoną małżonkę. W parę miesięcy po owem tajemniczem zniknięciu, zawezwano żonę zaginionego na posterunek policji.

— Tam w drugim pokolu leży ciało nieznajomego, znalezione dzisiaj w lesie. Czy to mąż pani?

Zaślepiona rozpaczą, nieszczęśliwa kobieta, weszła do izby, rzuciła przelotne spojrzenie na rozkładające się już zwłoki, i oświadczyła z płaczem: „Tak. To on!" Zawezwani sąsiedzi w liczbie ośmiu, potwierdzili to zdanie. Odbył się pogrzeb Zwłoki złożono w grobie rodzinnym. Po pogrzebie sąsiedzi, miejscowym zwyczajem, zebrali się u wdowy na stypie. Właśnie wdowa, zanosząca się od płaczu, wniosła na stół pierwsze danie, gdy ktoś otworzył drzwi. W progu ukazał się ten, po którym tak rozpaczano: marnotrawny mąż. A gdy wygłodniały „nieboszczyk" spożył swoją część stypy, zaczęto zastanawiać się nad tem, jak wyeksmitować z grobu rodzinnego gościa.

Zabawna komedja omyłek. Policyjnie notowana w Londynie oszustka Karolina Beufairs stała się bohaterką niezwykłej przygody. W jednym z tanecznych lokali poznała ona wykwintnego młodzieńca Daniela Lowtera, który podawał się za syna bogatego kupca z Edynburga. Pannie Benfairs podobał się młody człowiek, postanowiła przeto wyjść za niego zamąż. Opowiadała mu wiele o swej bogatej rodzinie, posiadającej wielkie dobra, wielkie konta czekowe i ogromnej wartości klejnoty. Wychwalała szczególnie swą ciotkę mrs. Bradthon, starą. samotną damę, którą znał Lowter i o której wiedział, że posiada ona kosztowności, przedstawiające wartość kilkudziesięciu tysięcy funtów szterlingów. Młody człowiek wyznał oszustce miłość i zaproponował jej natychmiastowe małżeństwo. Karolina Benfairs udawała, że się namyśla i boi skandalu, wreszcie zgodziła się i wyjechała do Szkocji, gdzie można wziąć ślub bez długich formalności. W hotelu, w którym zamieszkali, zjawił się pastor i pobłogosławił związek małżeński. Po ślubie zaproponował Lowter natychmiastowy wyjazd do cioci Bradthon. Młoda małżonka nastawała jednak, aby wpierw pojechali do rodziny męża. W czasie sprzeczki wyszło na jaw, iż oboje są oszustami, a ślub jest nieważny, albowiem dawał go przebrany za pastora przyjaciel pana młodego. Lowter obił małżonkę i uciekł w niewiadomym kierunku. Policja ustaliła, że nazywa się on Ludwik Field i jest znanym oszustem. Dobroczynne damy złożyły się na oszukaną oszustkę i wyprawiły ją do Australji, gdzie może będzie mogła prowadzić porządniejsze życie.

Złodziejskie plemię. Na północny zachód od Indyj, wśród plemion, które należą do korony angielskiej, istnieje osobliwy naród, który sam zwie się Zakha Khel-Afridis. Jest to lud bardzo wojowniczy i bezustannie napadający na swych sąsiadów. Zakha-Khel-Afridisowie, szczepowo spokrewnieni z dzikiemi plemionami górali afgańskich, są narodkiem już nie wojowniczym, ale wprost drapieżnym i pałającym nieopisaną żądzą cudzej własności. U Zakha-Khel Afridisów istnie też dziwny zwyczaj. Oto, gdy matce ze szczepu Afridisów urodzi się dziecko, zbierają się najpoważniejsi mężowie plemienia i wśród różnych dziwnych ceremonij i obrządków poślubiają noworodka złodziejstwu. Jest to rodzaj tamtejszego chrztu. W najuroczystszym momencie ceremonji, wszyscy uczestniczący w niej goście wraz z matką i dziecięciem, udają się do historycznej baszty. Mątka składa nowonarodzonego do niedużej framugi, wybitej świeżo w murze baszty i, schylając się nad dzieckiem, krzyczy doń po trzykroć: „Bądź dobrym złodziejem i rabusiem".



Nasza rycina przedstawia właśnie tę chwilę, gdy matka urządza ten niby chrzest. Biedni ludzie, nie znając wiary prawdziwej, wymyślili sobie jakąś dziwnę religię i czczą ja.

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

W sprawie wyjazdu robotników na roboty zagranicę należy zwracać się listownie do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy w Krakowie, ul. Lubelska (znaczka na odpowiedź nie załączać).

RZECZY CIEKAWE.

Największe rzeczy na świecie.

Największem miastem na świecie co do liczby mieszkańców jest wciąż jeszcze Londyn. Liczy on 7,800.000 ludności.

Największą wieżą jest kolos, znajdujący się w Wembley, w Anglji. Liczy on 356.5 metra, gdy wieża Eiffla liczy „tylko“ 300 metrów.

Najwyższą wieżę kościelną posiada miasteczko Ulm, w Austrji, nad Dunajem. Główna wieża ma 161 metrów.

Nie Rzym, jakby się mogło wydawać, ale Londyn posiada największą ilość kościołów. Rzym ma ich bowiem 400, w tem 365 katolickich — Londyn zaś posiada łącznie 1750 kościołów, z tego 640 anglikańskich.

Najbogatszem muzeum na świecie jest Louwr w Paryżu. Sale, w których mieszczą się owe skarby sztuki, liczą razem wiele kilometrów długości.

Największym pomnikiem świata jest statua wolności w porcie w Nowym Jorku. Jest ona 93 metry wysoka i waży 225.000 kg. W głowie tej figury mogłoby zmieścić się wygodnie 40 osób.

Największym teatrem świata było rzymskie Colosseum. Z ruin jego widać, że miało ono 80 wejść i mogło pomieścić naraz 85.000 widzów.

Najdroższe ceny biletów kolejowych ma kolejka szwajcarska, idąca na Jungfrau. Kilometr jazdy kosztuje tu prawie 5 zł. Inna sprawa, że dzięki tej kolejce można wyjechać w ciągu 5 kwadransów na wysokość 3500 metrów ponad poziom morza.

Najgęstszą sieć kolejową ma Belgja, albowiem na przestrzeni 30.444 kilom. kwadrat. posiada aż 11.090 kilometrów szyn i 1675 kilom. dróg wodnych.

Największem uzdrowiskiem na świecie jest Wiesbaden, który posiada aż 30 źródeł gorących.

Jak śpią zwierzęta?

Jest rzeczą każdemu znaną, iż psy, zanim się ułożą do snu, obracają się kilkakrotnie wokół samych siebie. Otóż zoologowie, t. j. uczeni, zajmujący się życiem zwierząt, zapewniają, iż są to pozostałości zwyczaju w czasach gdy psy żyły w stanie dzikim; musiały wówczas płaszczyć gęstą i wysoką trawę, aby stworzyć sobie wygodne legowisko.

Do niedawna jeszcze myślano, że orangutang (gatunek małp) i wszystkie inne wielkie małpy, śpi na boku; stwierdzono jednak niezbicie, iż razem z człowiekiem jest on jedynem stworzeniem żywem, śpiącem na grzbiecie, podobnie jak człowiek. Małe małpki, spędzające noce na drzewach, we śnie zaciskają piąstki, jakgdyby ciągle jeszcze wisiały na gałęziach.

Żyrafy zasypiają tylko wówczas, gdy długą swą szyję złożą sobie na plecach, jelenie i sarny natomiast utrzymują głowę w tej samej pozycji, co za dnia. Konie śpią, często stojąc.

Zwierzęta o nogach krótkich i krępych, jak np. hipopotam, nosorożec, wieprz, układają się do spoczynku na boku, gdyż nie mogą zginać nóg.

Niedźwiedzie nie mają ustalonych zwyczajów, w ogrodach zoologicznych ujrzeć można, jak zasypiają w najdziwaczniejszych pozycjach.

Leniwiec wiesza się czterema łapami na jakiejś gałęzi, jest to dla niego najwygodniejsze położenie dla spędzenia nomy. Mrówkojad natomiast nakrywa swe ciało puszystym ogonem tak, iż widać zaledwie tylko pazury.

Jak przeżywają zimę świstaki?

Po wykopaniu nory zimowej, zazwyczaj około końca września znoszą jeszcze świstaki przez dzień lub dwa zeschłą trawę do wnętrza w ten sposób, że każdy chwyta pęk suchej trawy stojącej na pniu, odgryza od spodu zębami, wkłada łapkami do pyszczka i niesie tak do nory. Boki i dno nory wyścielają w ten sposób na grubość pół stopy. Nie jedzą już prawie nic. Udawszy się na leżę zimową, zatykają wyjście od wnętrza kamienistą ziemią, której dostarczają sobie tak, że rozszerzają norę przy ujściu w kotlinkę. W ten sposób „zabijają“, jak mówią górale, norę.

Tutaj w zupełnym letargu spędzają świstaki całą zimę i dopiero w maju lub z początkiem czerwca wychodzą nad ziemię. Leżą jeden koło drugiego głowami do siebie, zwinięte w kłębek, pysk schowawszy pod ogon, a podeszwy nóg tylnych trzymając po bokach głowy. Śpiący Świstak robi wrażenie nieżywego. Oddychanie nadzwyczaj powolne do 15 razy na godzinę.

Obliczono, że w ten sposób w ciągu sześciu miesięcy letargu świstak oddycha 71.000 razy, gdy czuwając, już w dwu dniach oddycha 72.000.

Temperatura ciała opada od 9.4 do 12° C. Obieg krwi staje się niezmiernie wolnym. Krew staje się nieobfitą i wodnistą. Zauważono także, że podczas uśpienia krew dopływa do mózgu tylko jedną tętnicą, co dla objawów czynności życiowych jest wielkiego znaczenia.

Zwierzę jest zimne, na okaleczenia nieczułe, członki ma sztywne, żołądek próżny i skurczony, jelito próżne, pęcherz napełniony moczem.

Gdy się śpiącego świstaka wniesie do ciepła, oddycha on szybciej dopiero przy 17° C, przy 20° zaczyna chrapać, przy 22° wyciąga członki, przy 25° ocuca się, chodzi, słaniając się, staje się coraz raźniejszy i zabiera się wreszcie do jadła. Wyniesiony na zimne powietrze — marznie.

Miesiące zimowe w różnych latach.

Ostra zima ze wszystkiemi towarzyszącemi jej dolegliwościami, zapisuje się w pamięci ludzkiej znacznie głębiej, aniżeli zima łagodna, toteż w starych kronikach wspomina się o mrozach częściej, aniżeli o ciepłych okresach. Najstarsza wiadomość o łagodnej zimie sięga roku 1185. Była to najcieplejsza zima, jaką wogóle zanotowano w środkowej Europie. W styczniu zakwitły znów drzewa, a jabłka dorosły w kwietniu już do wielkości laskowego orzecha. W maju zaczęło dojrzewać zboże.

Zapisano w wirtemberskich kronikach, iż przez całą zimę 1186 roku nie spadło ani trochę śniegu. Na Boże Narodzenie zieleniały drzewa, w lutym zaczęto zbierać truskawki, w kwietniu zakwitły winogrona, ale zato w początkach maja — wbrew wszelkim oczekiwaniom — spadł pierwszy śnieg i nastał taki mróz, że wszystko pomarzło.

Niezwykła była zwłaszcza zima 1419 roku, ponieważ panowały wtedy na całym Wschodzie bardzo ostre mrozy, do tego stopnia, że częściowo zamarzło nawet morze Czarne, gdy natomiast w Europie środkowej było niesłychanie ciepło. W Szwajcarji można było kupić na targu wiśnie, czereśnie i truskawki już w połowie kwietnia. W dniu 22 czerwca ukazały

się dojrzałe winogrona i brzoskwinie. W dniu 4 czerwca rozpoczęły się żniwa.

Tak samo bardzo łagodne były następne lata, aż do roku 1429. Urodzaje były wyśmienite, a zboża nadmiar. Również od 1538 aż do 1540 r. notowano tak łagodne zimy, że w Marchji Brandenburskiej dziewczęta przystrajały się na Boże Narodzenie w wianuszki ze świeżych fiołków i bławatków.

W r. 1662 było w Anglji całą zimę tak ciepło, jak u nas w maju. Wiosenny ten klimat nie wpłynął jednak korzystnie na stan zdrowia mieszkańców, toteż w kościołach zarządzono modły, aby Bóg przywrócił mrozy i dopomógł tem do zwalczenia epidemij.

Słońce nie odgrywa przy ogrzewaniu powietrza prawie żadnej roli w okresie miesięcy zimowych; ciepło wytwarzają raczej ciepłe wiatry, pochodzące od strony oceanu Atlantyckiego.

Uderzająca jest wszakże stale od roku 1862 wzrastająca liczba ciepłych miesęicy zimowych.

W okresie od 1910 do 1916 było pięć zim łagodnych. Statystyka wykazuje, że nawet w czasie najcieplejszej zimy istnieje kilka dni ostrego mrozu, na całość to wszakże nie wpływa. Częstokroć następuje też jakiś dwu-tygodniowy okres zimna pod koniec marca i w początkach kwietnia. Sprawdza się zatem przysłowie: Zielone Boże Narodzenie — Biała Wielkanoc. Jedno jest przytem pocieszające, że po łagodnej zimie następuje z reguły piękne lato.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp. **Józef Foryś** w P.: Nadesłane utwory będziemy się starali zamieścić, z powodu przepełnienia teczki redakcyjnej nie możemy jednak oznaczyć terminu. — **Lulka Smagowicz** w K.: Bilety wizytowe zamieścimy. — **Jan Gaklik** w S.: Niech Pan napisze do Miodosytni Robackiego, Kraków, ul. Sławkowska. — **Jan Kęder** w W.: Rozwiązania z Nru 5 przyszły zapóźno. Termin był do 6 b. m., a Pan nadał list na pocztę 9 b. m. — **„Zocha“:** Wierszyk „Do wiosny“ posiada w niektórych zwrotkach ładne momenty, ale w innych forma jeszcze nie opanowana. Może dalsze próby będą lepsze. — **Władysław Pelczar** w K. W.: Logogryf przeznaczomy do druku. — **Staszek:** Niestety, „Bo pan się maluje“ już dawno w koszu, więc poprawek uczynić nie możemy. Wierszyk, gdy tylko będzie miejsce, zamieścimy. — **Antoni Burek** w B.: Wierszyk przeznaczamy do druku. — **Ron-Rek** w K.: Forma wiersza słaba — nie zamieścimy. — **Andrzej Zakielasz** w R.: List Pański przeczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Tak gorące uznanie jest dla nas bodźcem do dalszej pracy. Zagadki zamieścimy. Drukarkę ręczną otrzyma Pan w każdym większym sklepie przyborów kancelaryjnych. — **Józef Kawalec** w T.: Zagadki zamieścimy. — **K. Leśniowski:** Z nadesłanego nam humoru skorzystamy. — **Antoni Wasylecki** w T.: „Współczucie“ słabe; dawniejsze dwa wiersze, gdy będzie miejsce, zamieścimy. — **Marcin Dygoń** w Ł.: Za rok ubiegły wszystko wyrównane. Zaległe numera od N. Roku wraz z numerem najświeższym wysłaliśmy. Za tak szczere słowa uznania i życzliwości bardzo dziękujemy i wzajemnie Pana pozdrawiamy. — **Józef Świstek** w W.: W tej sprawie nie możemy nic więcej zrobić jak tylko list oddać owemu Panu, który ogłosił udzielanie pożyczek na kupno gruntu. O ile cośkolwiek wiemy, jest to pewien Pan, który chce ulokować swój kapitał, ale tylko na hipoteki zakupionego gruntu. — **Panek Andrzej** w B.: W tej sprawie niech się Pan zwróci do księgarni: Kraków, ul. Gołębia 10/R. Sześć tomów powieści nie mamy i nigdzie nie można nabyć. **Bolesław Malec** z B.: Jest to dla nas kłopotliwe dla kogoś pieniądze odbierać i posyłać mu posłańcem, bo sam nie przyjdzie. A niech Pan tylko adres zostawi i pieniądze na prenumeratę, to i na tamten świat Panu „Rolę“ będziemy posyłali. Najlepiej jednak, niech się Pan tam nie wybiera, a „Rolę“ dalej na tym świecie czyta. Cześć!

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył A. Boda z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej tu i tam.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyjemność.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Partja polityczna.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Głupiec inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ciało w języku martw.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Łączy się z przemysłem
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Narządzie domowe.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Suknie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Nie rzadko.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ksiądz inaczej.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mają drzewa szpilk.

Pierwsze litery dadzą imię i nazwisko wodza powstania.

2. Układanka szaradowa.

Część drzewa + przyrząd sport. = słynny ksiądz polski.

3. Szarady.

I.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

Każdy czwarty pół trzeci ma swe przywileje,
O trzecim pół drugim mówią stare dzieje;
W historji starożytnej wzmianki o nim [mamy,
Czwarte pół drugiego z rudy wytapiamy.
Pierwszy drugi pół czwarty wielki gmach [zowiemy,
Pierwszych trzecich nam trzeba gdy ziemię orzemy,
Trzecie pół czwarte pierwsze nazwę daje [miasta,
Drugie pół pierwsze pół trzecie ma często [niewiasta,
Pół druga, pół trzecia czwarta Maćka zwy- [kła karta,
Nikt na nią ani spojrzał, bo nie była warta.
Pierwsze pół czwartego ptaka otrzymamy,
Na drugi pół czwarty znów się uskarżamy.
Całość̀ą jest człowiek, zdala przywędrował,
A osiadły zagrodę sobie wybudował.

II

Ułożył Józef Górecki z K.).

Pierwsze prugie części drzewa,
Trzecie drugie kolej miewa,
A w całości rzeka płynie
I po górze i dolinie.

4. Konikówka.

(Uł. Józef Górecki z K.).

by	kar	e	nas	nę	go
ny	w	sta	le	mo	za
stwa	krew	cie	bez	te	ła
by	bi	bie	cji	sty	od
gu	ży	gło	ro	w	bez

Ruchem konika szachowego odczytać sentencję.

5. Układanka szaradowa.

Słowo pożegnania + roślina rosnąca w Chinach = miasto w Europie.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 27 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 6 „Roli“: 1. Logogryf: Powstanie listopadowe. 2. Szarady. I. Stodoły. II. Kukurydze. III. Sodalicja. IV. Kawałek. 3. Bilety wizytowe: I. Właścicielka hotelu. II. Minister skarbu.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali: pp.: Józef Półtorak z K., Ignacy Sojka z D., Lulka Smagowicz z K., Józef Cieplik z K., Kazimierz Strusiewicz z K. P., Daniło Dokić z K., Karol Szewczyk z K., Irena Kaczorówna z S., Marja Żelazowska z T., Marja Woźniakiewicz z G., Józef Kawalec z T., Stanisław Skwarek z J., Samuel Wind z Cz.

Nagrody wylosowali pp.: Kazimierz Strusiewicz z K. P. i Daniło Dokić z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Namiętne wezwanie.

W kilku dziennikach angielskich czytano niedawno przez dwa dni następujące ogłoszenie: „Karolu, mój klejnocie! Jestem w rozpaczy. Przyjdź rozmówić się ze mną na wystawę przemysłową. Zastaniesz mnie o godzinie 4-tej przy wystawie sklepu galanteryjnego Nr 59. Ty nie dasz naprózno czekać, nieprawda mój drogi? Twoja na wieki — Laura". W tem nie byłoby jeszcze nic nadzwyczajnego, bo podobne anonsy można czytać codziennie. Ale oto właściwe znaczenie tego ogłoszenia. Sporo osób, zaintrygowanych namiętnem wezwaniem, przechadzało się po kilka godzin pod oknem wystawy, aby się doczekać spotkania czułej pary, tłocząc się około okna wystawy. Ten i ów wszedł do sklepu i coś zakupił, a wieczorem kupiec, zacierając ręce z zadowolenia, rzekł: „Dzisiejszy dzień przyniósł mi dużo, ale czemże jutro przywabię tych głupców".

Giełda płodów rolniczych

z dnia 13 lutego b. r

Pszenica	23·50—24·00	Słoma długa	5·00—5·50
Żyto .	17·00—17·50	Ziemniaki stoł.	0· 0—0·.0
Owies . .	20·00—20·50	Koniczyna nasienn. czer.	210·00—225·00
Jęczmień .	19·00—20·00		
Fasola biała	38·00—42·00	Mąka żytnia	30·50—31·00
Groch zwyk.	27·00 32·00	Mąka pszen.	44·50—45·50
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby pszen.	14·00—14·50
Łubin żółty	36·00—38·00	Otręby żytnie	13·50—14·00
Koniczpastew.	14·00—15·00	Mąka czerw.	16·50—17·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 13 lutego b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·60 do 1·05 zł.	Jałownik	od 0·70 do 1·10 zł.
Woły . .	od 0·65 do 1·06 zł.	Cielęta .	od 0·90 do 1·55 zł.
Krowy .	od 0·51 do 1·00 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogacizne	1·30 do 1·60 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 1·40 do 1.84

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.